Nr. 10. Lwów, 14. Sierpnia 1881. **Rocznik III.**

STRAŻNICA POLSKA

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.

WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Numer pojedyńczy kosztuje 12 centów.

REDAKCYA ulica Zielona Nr. 46.
ADMINISTRACYA Rynek liczba 9.
EKSPEDYCYA główna Rynek, l. 9
i w Trafice (Hotel Żorża), róg placu Maryackiego i ulicy Krętej.
W Krakowie: w Trafice F. A. Grigara Rynek, l. 39.

PRZEDPŁATA
na „Sztandar polski“ i „Strażnicę polską“ kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (**bez przesyłki**) 1 zł. 50 ct.
na prowincji . . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

Szan. odbiorców pism naszych zalegających z przedpłatą upraszamy o wyrównanie zaległości. Przypominamy zarazem, że czas już odnowić prenumeratę na bieżący kwartał — a kto sobie nadal pism naszych odbierać nie życzy — niech raczy ten numer zwrócić.

ODEZWA.

Wszystkich dłużników kredytowego Banku włościańskiego we Lwowie tak byłych jak i obecnych, a mianowicie tych, co się czy to przez centralną dyrekcyę czy też przez tych naczelników powiatowych pokrzywdzonymi czują, którzy pobierając ratalne spłaty długu sumy wpłacane defraudowali — wzywa Redakcya „Strażnicy polskiej“, aby **jak najspieszniej** nadesłali pocztą lub osobiście wręczyli **książki udziałowe** wraz ze spisanymi dowodami i objaśnieniami, na jakie sumy są poszkodowani.

Przesełki upraszamy frankować i oddawać na pocztę za recepisem pod adressą:

Redakcya „Strażnicy polskiej“ we Lwowie ulica Zielona Nr. 46.

Upraszamy wszystkie Redakcye, które los nieszczęśliwego ludu obchodzi, o powtórzenie tej odezwy.

Red. „Strażn. pols.“

Smocza jama.

Po zdławieniu przez Moskwę powstania narodowego w roku 1864, które dławić pomagały pośrednio lub bezpośrednio ręce i głowy, wypiastowane, niestety i w łonach matek polskich; po owej epoce, w której łatwiej było umierać niż żyć, a łatwiej ludziom zdala od ucisku, rozprawiać o nim, niż pracować nad przyszłością krwawo; po owej katastrofie wyzwanej przez rząd cara uciskiem, urąganiem i znęcaniem się nad narodem polskim; powstali, niestety, znowu wyrodni synowie Polski i jak ongi faryzeusze i uczeni w piśmie, zasiedli nad księgami i nad ciepłemi jeszcze ofiarami, i rzekli:

„Dalej do dzieła! Gdy głupcy i zagorzalcy smucić się będą, skorzystajmy z chwili i pracujmy na sławę. Smutek zamknął im usta, nam rozum rozwiąże języki. Najprostsza droga do sławy, wielbić silnego, a któż silniejszy od cara? Weźmy się tedy do ekspiacyi rządów jego w Polsce“.

Zrobili jak powiedzieli. W zapale poświęcenia dla rządów cara nazwali nawet Kościuszkę buntownikiem a władze carskie, rządem legalnym. Nie żałowali języków, piór i atramentu. Ludzie uczciwi w samej rzeczy milczeli, przerażeni bezwstydem. W milczeniu połykano obelgi, któremi Stańczykostwo krakowskie plwało narodowi w oczy. W stosunkach codziennych, gdy szło o „pierwsze“ miejsca przy biesiadach i pokłony dla jednego z grona Stańczyków, dopuszczali się wszelkiej nikczemności, w stosunkach publicznych, zamachów zbrodniczych osłanianych Wallenrodyzmem, a często cynicznie zuchwałych i jawnych.

Skutkiem tej gorliwej pracy było powszechne oburzenie, znajdujące wyraz w sporadycznych protestach na zgromadzeniach i w dziennikarstwie niekiedy. Ale ci, którzy się przezwali Stańczykami, mieli i mają czoła z aliażu czyli mieszaniny różnych nieprawości, urągali więc oburzeniu mówiąc, że: „Ulica się wściekła“!

Tak idąc i tak czyniąc chcieli szczerze zarobić na sławę i uśmiech rządów carskich i chcieli zniewolić swojemi obelgami cały naród do pomocy sobie. Stało się inaczej i stawać się musi coraz inaczej. Oburzenie wzrastało, a najsilniejszym wyrazem jego jest świeżo wydana w Poznaniu broszura pod tytułem: „Smocza jama“.

Pismo to nie wielkie o 24 stronnicach a wydane bezimiennie.

Bezimienny autor słusznie powiada, że sumienie narodowe dało mu prawo do zawołania: dość już tych obrzydliwości, tego pobłażani i oszukiwania. Postanowił, jak mówi do Wydawcy: „wołać do niektórych rodaków swoich: *Quousque tandem?*“ I długoż jeszcze poniewierać będziecie naród, a ty narodzie długo pobłażać im będziesz! Ma słuszność — a kto uczciwy, w kim bije serce polskie ma obowiązek odczytać to podwójne napomnienie i zastanowić się nad każdym wyrazem. Niech się zawczasu dowiedzą dzieci, kto w drugiej połowie XIX. wieku po tylu strasznych przykładach postanowił bez skrupułów sumienia wstąpić w ślady Ponińskiego, Massalkich i Kossakowskich, trzech Gurowskich i kanclerza Młodziejowskiego i — niestety, długiego jeszcze szeregu tych, którzy brali gratyfikacye od Moskwy.

Autor poświęcił swą pracę Doktorowi medycyny p. Władysławowi Krajewskiemu. W dedykacyi tak się odzywa:

„Hippokrates powiedział po grecku to, co jak wiadomo tak brzmi w języku przez medycynę przyjętym: *Quem medicamenta non sanant, ignis sanat; quem ignis non sanat, ferrum sanat.* Użyłem więc tej metody. Gdy łagodne napominania nie pomogły i nawet takiego skutku nie przyniosły w chorobach chronicznych narodowych, jakiego spodziewać się można było od środków leczniczych zwanych *polliatifs*, to jest, gdy z ich pomocą okazało się niepodobieństwem wyniszczenie zaraźliwego miazmatu, uważałem za rzecz najwłaściwszą, zastósować się do rady ojca medycyny. Rozpaliłem tedy słowa jak żelazo w ogniu; zaostrzyłem pióro; razem wypalam rany i odcinam zgangrenowane członki. Kauteryzacya i amputacya. Nie ma innej rady!“

Po tak jasnem zdaniu sobie sprawy z obecnego położenia, przystępuje autor do pracy i w głosie wierszowanym podaje wyraz boleści i oburzenia na tych, którzy niepowołani, nie wzywani, zaręczają u podnóżków carskich, że naród będzie „zawsze spokojny i... podły“

„Bo oni pierwsi buntów wszelki stłumią zaród,
bo ich mądre doktryny już wszystkich przywiodły
Do rozumu, do skruchy, do opamiętania:
że „zbrodnią“ były dotąd te wszystkie powstania,
że tylko w posłuszeństwie, w błocie poniżenia,
„w zgodzie z Moskwą“ przyszłego szczęście pokolenia.

Wystawa doroczna Sztuk Pięknych
w Auli Politechniki, we Lwowie.

(Ciąg dalszy.)

W. Kotarbiński, który usiłuje wstępować w ślady Henryka Siemiradzkiego, nadesłał „Obraz z życia starożytnego Rzymu“. — Epokę tę obrał sobie jak się zdawać może jako wyłączną specyalność swych utworów, które rzeczywiście znamionują wyższe zdolności, myśl głęboką, znajomość rysunku, estetyczną prawidłową kompozycyę — i sposób władania szerokim pędzlem w kolorycie. Jeżeli więc ktoś warunki te posiada to ma i słuszne prawo do nazwy artysty, której z naszej strony nie myślimy p. Kotarbińskiemu odmawiać. Obrazy jego, jakieśmy poznali na wystawach lwowskich pociągają do siebie rzeczywiście znawców i lubowników sztuki; nawet profan dłużej się przed nimi zatrzymuje. Przyczyną do tego jest głównie ponętny, a że tak powiemy lubieżny temat z najciekawszej może epoki starożytnego Rzymu — chociaż przedstawia tę erę, w której upoetyzowana realnie zmysłowość — była tym robakiem nurtującym przyszłość wielkiego narodu, który w cywilizacyi przodował innym. Kobieta piękna, uczta Lukulla, wino, spiew, i upajająca woń kwiatów, nareszcie krwawe igrzyska, oto są ideały, które przez Cezarów prowadziły Romę do upadku; one są tym idealnym skorpionem, który od tych starożytnych wieków powtarzając się ciągle, aż po nasze czasy, łechce zmysłowość, podnieca i pociąga do naśladownictwa. Nie zaprzeczamy, że pokarm ten jest nader ponętny pociągający ku sobie ułomnego słabego ducha, ale kusi go jak szatan tak długo, dopóki ofiary swej nie zdusi i nie zdepce nogami.

Oto jest era, w której się p. Kotarbiński tak rozmiłował — rozpieścił, i pytanie czy takowa nieuwięziła jego geniuszu twórczego raz na zawsze w tym zaklętem kole.

Obrazom p. K. niemożna odmówić piękna — ale — analizując takowe bliżej, troskliwiej, przychodzi się mimowoli do przekonania, że to są płody dokonane nie w spokojnem zastanowieniu i zgłębianiu warunków sztuki — ale rodzą się jako wynik usposobienia artystycznego, które genialny artysta z lubością na płótnie w bogactwo barw stroi. W utworach tych, niechaj jednak nikt nie szuka głębszej, męzkiej myśli, jaka powinna być przewodnią gwiazdą dla artysty — a szczególniej Polaka. Naszem zdaniem jest to gonienie za lekką sławą w przyszłości. Być może, że to nasze zdanie może się komuś zdawać za absolutne i nieuzasadnione. Niestety musimy przy nim obstawać, jeżeli rozpatrzymy się w tych kilku obrazach, jakie p. K. w zeszłym i w tym roku raczył przysłać do Lwowa. Utwory te są bardzo ładne, artystycznie rzucone na płótno — ale nic więcej. W przedstawieniu ich posiada malarz swobodę twórczą i techniczną; brakuje mu natomiast jednej tylko rzeczy: oto wykończenia. Czy p. K. sile tej dorósł, lub dorośnie — ośmielamy się wątpić. Wpadł on w tą bezwładność może mimowolnie, ale że wpadł to niepodlega wątpliwości. Przyczyną tej słabości, nie jest co innego, jak rzucenie się (chociaż może duchowo) w regiony raju starożytnych Rzymian; których po naszemu nazywamy „Kapuą“. Kto w te uściski się dostanie, ten niech nie marzy, o poważnym zastanowieniu się i spełnieniu obowiązków artysty. Wszedł on albowiem w rodzaj delirium duchowego. Siła geniuszu pcha przed oczy coraz nowsze, ponętniejsze obrazy, które artysta usiłuje przedstawić, uwydatnić w rysunku i barwie; lecz na wykończenie, udoskonalenie dzieła nie daje mu już cierpliwości myśl ruchliwa jak w kalejdoskopie napełnionym barwnemi szkiełkami — których obrazki najmniejszy ruch zmienia. Oto tę obawę objawiamy co do p. Kotarbińskiego, któremu niebrak na wybitnym talencie — wykształceniu artystycznem, ale który popadł w zaczarowane koło niebezpiecznych ideałów. Bodaj przepowiednia nasza była fałszywą. Pan Kotarbiński, jeżeli dba o to aby imię jego jako artysty przeżyło go, to niech usiłuje uczynić zwrot na inną drogę dziejów, niech pamięta co winien Ojczyźnie polskiej, niech popróbuje swoich sił na tym polu, może usiłowania te nie będą spóźnione.

Jeżeli zaś „Roma“ płynie potokiem w myśli i krwi, to niechaj przynajmniej wejdzie na tory „Pochodni Nerona“, lub innych poważniejszych momentów.

A na dowód szczerości szlachta jest gotową
strzedz świętej cara głowy „strażą honorową". —
Legion pod przewodnictwem markiza Gonzagi
ma oczyścić kraj cały z patryotów plagi.
Pod Wawelem na pomoc „straży honorowej"
stoi w assekuracyi „wódz straży ogniowej".
Gdzie tylko błyśnie zapał, profesor na przedzie
z Jagiellońskiej wszechnicy straż swoją powiedzie.
„Nie będzie patryotów, nie będzie powstańców,
A los Polski się złoży w ręce Zmartwychwstańców".

„Program wasz taki" mówi autor, a dalej: „Las bez drzew – to ideał waszego rozumu" — czyli Polska bez obywateli Polaków.

Dostaje się też słusznie p. Spasowiczowi za to, że z Mickiewicza, Słowackiego i Syrokomli zrobił w swoich odczytach półgłówków; ma także piękny prezencik p. Kalinka — pan czy ojciec Zmartwychwstaniec, to wszystko jedno, ale ma za wyniesienie na piedestal śp. Stolnika, kochanka carycy Katarzyny i nie-świetnej pamięci króla polskiego, który się dzielił ziemiami polskiemi i koroną. Nie zapomniał bezimienny autor i o Judlu Klaczce, który pierwszy nazwał powstanie 1863 roku zbrodnią.

Po tych następuje cały szereg obywateli, głośnych dziś w kraju, dygnitarzy literackich lub obywatelskich, którzy jak to wiemy sami, modlą się pod figurą a djabła noszą za skórą.

Z gorżką ironią przyklaskuje autor usiłowaniom ugodowym ludzi, którzy się wyzuli z poczucia, którzy nie chcą „drażnić" bo w takim razie tylko:

„jedwabnym stryczkiem będą dusić."

Nie wszystko możemy przytoczyć, choćbyśmy to chętnie uczynili, a nie możemy z przyczyn nie od nas zależnych a łatwych do pojęcia.

Godzimy się z szanownym nieznajomym stanowczo na jego oburzenie, na poglądy w ogóle, ale nie zupełnie co do jednego szczegółu.

Szanowny autor nie ustrzegł się także pomieszania pojęć, a lubo to zrobił w dobrej chęci, osłabił jednak wrażenie prawd wypowiedzianych. Autor pomieszał Stańczyków z pozytywistami. Tej rzekomo ścisłej spółce ofiarował swój wiersz, i tem zbłądził.

Pozytywista jest wyrazem charakteryzującym stronnictwo ludzi zdążających do celów realnych, więc i do Polski rzeczywistej. Pomiędzy pozytywistami tak samo jak idealistami mogą być ludzie uczciwi i nieuczciwi, wyraz ten jednak nie charakteryzuje jeszcze bezwarunkowo złego człowieka. Szanowny autor bezimienny jest sam pozytywistą w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu. Pozytywistą jest T. T. Jeż, któremu nikt patryotyzmu nie odmówi, a idealistą był smutnej pamięci Meciszewski, któremu także spodlenia nikt nie odmówi. Tak więc, wielu pozytywistów, uczciwych naturalnie — pracowało i pracuje nad przyszłością Polski, z tą różnicą, że ludzie ci nie chcą liczyć na żadne cuda, na żadną postronną pomoc, tylko na własne siły narodu. Pozytywistami nie godzi się nazywać plugawych zdrajców — dla których pozytywna tylko kieszeń, lecz nie praca nad dobrem ogółu.

Dla tego, szkoda, że autor pomieszał te pojęcia. Kto bowiem powie Stańczyk — to każdy wie, że mówi o zdrajcy, który plwa na naszych braci i na nas samych, którzyśmy brali udział w „nielegalnym buncie" przeciw carowi — ale kto powie: pozytywista, to jeszcze wielkie pytanie, o którym z tego stronnictwa myśli. Odróżniać trzeba koniecznie, bo inaczej mógłby kto i Słowackiego potępić za to, że mówił prawdę, wołając:

„Polsko! krzyż twoim Rzymem — twoja zguba w Rzymie."

A jednak my przekonani jesteśmy głęboko, że dopóki echo tych słów jednego z najgłębiej patrzących poetów narodowych nie przeniknie tajników serc i umysłów w Polsce, dopóty zguba nasza, ów podsycany ze wszystkich sił mistycyzm, owo mieszanie narodowości, prawości i poświęcenia z religią — targać, zużywać i osłabiać nas nie przestanie.

Pod tym względem zalecamy pozytywizm „polski", który mówi: Tu twoja ziemia, tu pracuj, tu zdobywaj jedyny cel z pominięciem wszystkich innych, bo najświętszym celem jest okazać się godnymi Modrzewskich, Bielskich, Ostrorogów, Wiśniowieckich i Firlejów.

Tłumacząc jaśniej: prawość, rozum, praca, szlachetne męstwo i odwaga — to jedyne czynniki zbawienia. Innych nie ma, innych nikt nie da, bo ich nie ma nigdzie pod słońcem. Ma je naród, i byle nie usypiane te zalety i nie mącone, zrobiłyby dawno swoje.

Z wszelkiem natomiast uznaniem powtarzamy za nieznajomym autorem:

„Wrogiem narodu każdy kto odstępuje od jego posłannictwa, kto nie zna jego ducha, kto nie rozumie jego potrzeb i celów".

Zgromadzenie ludowe w Sibicy dnia 31. lipca 1881 r.

(Podług „Gwiazdki Cieszyńskiej".)

Zwołane na niedzielę 31. lipca br. i tegoż dnia według programu odbyte Zgromadzenie ludowe w Sibicy przy Cieszynie, powiodło się świetnie i będzie nowem chlubnem świadectwem dla ludu polskiego Śląska, w szczególności Księstwa Cieszyńskiego, jakkolwiek zataić nie śmiemy, że byłoby jeszcze o wiele świetniejszem mianowicie co do liczby zebrania, gdyby nie były zaszły pewne przyczyny. W początku sprawa nie była dobrze ujętą i pobudka nie była właściwą. Powiedziano, że powód wyszedł ze stronnictwa niemieckiego, a jak mówiono lub domyślano się, że poza tem była pewna znana osobistość chcąca zamięszać w obozie narodowym na korzyść centralistów. Chciano także mieć to zgromadzenie w połączeniu z Niemcami włościanami, z tymi Niemcami, których u nas prawie niema, gdyż są tylko chyba oślepieni służalcy obcego żywiołu. Chciano nawet wykluczyć sprawę narodowości z obrad zgromadzenia; a tylko ściśle rolnicze, włościańskie dolegliwości omówić. W zwołującej odezwie pozostał ślad, że wzięto sobie za wzór wiece włościańskie w Rakusach, które to wiece wywołali centraliści przeciw obecnemu ministerstwu i jego pojednawczej polityce, acz wiece te zwróciły się przeciwko centralistom samym. Na wstępnych naradach jednak okazał się od razu zdrowy rozum włościan, czyniący chlubę ogółowi naszego stanu włościańskiego, i przyjęto program narodowy. Czują i pojmują włościanie śląscy, że sprawa narodowa, sprawa równouprawnienia języka polskiego jest dla nich najnaglejszą, bo upośledzenie języka polskiego najbardziej ich gniecie i wyrządza im najcięższe szkody pod względem duchowym i materjalnym. Przyjęcie do programu sprawy narodowej dało zaś partyi niemieckiej pochop do agitacyi przeciwnej i bardzo niegodziwej, aby zrobić rozdwojenie, i widocznie ta przeciwagitacja nie była zupełnie bezskuteczną. Pomimo to przybyli na zgromadzenie ze wszystkich okolic księstwa cieszyńskiego liczni reprezentanci, poważni gospodarze i przełożeni gmin, dając dowód, że ogółowi ludności księstwa cieszyńskiego bardzo na sercu leżą kwestje programem zgromadzenia objęte.

Zgromadzenie liczyło przeszło 5000 głów, jak powiedzieliśmy samych poważnych osób ze wszystkich stron księstwa cieszyńskiego. A że sprawa śląskich Polaków nie jest obojętną dalszej Braci polskiej, dodajemy, że przybyło także kilkunastu zacnych gości, między którymi zastępcy Galicyi, Królestwa Polskiego, Litwy, Wołynia i Podola, tak, iż niemal cała Polska na tem zgromadzeniu była reprezentowana. Miejsce zgromadzenia, na łące p. Jana Glajcara w Sibicy, w pobliżu dworca kolejowego cieszyńskiego, oznaczone było chorągwiami, z trybuną dla mowców, ozdobioną obrazami Ich Cesarskich Mości. Podniosły duch panował w całem zgromadzeniu od początku aż do końca. Najpiękniejsza pogoda sprzyjała zebraniu. Na trybunie zajęli miejsce członkowie komitetu, oraz komisarz c. k. starostwa p. Rosenberg i niektórzy goście. Rozprawy rozpoczęły się o godz. 3.; wystrzały z moździerzy i muzyka oznaczały główniejsze ustępy.

Zgromadzenie zagaił p. Jerzy Cienciała rolnik z Mistrzowic i poseł krajowy, i na powitanie przemówił w ten sposób: Szanowne Zgromadzenie! Szczęśliwym się czuję, że po 10ciu latach za wolą Bożą jest mi znów w udziale danem pod tem pięknem Bożem niebem w imieniu komitetu powitać wtóre zgromadzenie ludowe przy Cieszynie. Wczoraj dnia 30. b. m. 10 lat minęło, gdy myśl wzniosła, myśl narodowa, na ów pamiętny pagórek sąsiedniej gminy Ropickiej pierwsze zgromadzenie ludowe zwołała. Myśl narodowa, to myśl wzniosła, to myśl uświęcona, której żaden o swoim rodzie uczciwie myślący człowiek, jakiegokolwiek narodu, nie może i nie śmie poniewierać, jeżeli nie chce być zdrajcą narodu, jeżeli sobie nie życzy, żeby świat nad nim, nad jego narodem przeszedł do porządku dziennego. Dziś kochani ziomkowie, zgromadziła nas tu inna myśl, myśl ekonomiczna czyli gospodarska z nadzieją polepszenia naszego dobrobytu, tak materjalnego jak duchowego. Ku temu końcowi: witam przedewszystkiem Wielm. Pana komisarza c. k. starostwa powiat. w Cieszynie, który jako komisarz rządowy przy naszych naradach dzisiejszych obecnym będzie, i którego mam zaszczyt w tym charakterze Szan. Zgromadzeniu przedstawić. Witam dalej naszych zacnych gości jak najserdeczniej, którzy z dalekich stron przybyli, żeby się przypatrzeć, żeby współczucie objawić naszym dążnościom i naszym usiłowaniom. Witam nareszcie Was bracia rolnicy, Ciebie kochany ludu wiejski naszego księstwa Cieszyńskiego; ty masz tu jedynie dziś prawo publicznie sprawy swoje programem oznaczone roztrząsać, i odnośne uchwały czynić. Czyń to, jak na lud politycznie dojrzały przystoi, z powagą i godnością, skromnie ale stanowczo. Szanujmy prawo, a nie zapominajmy naszego obowiązku obywatelskiego, bez strachu, ale i bez swawoli. Albowiem jesteśmy tu zgromadzeni na zasadzie prawnej, na mocy ustawy o zgroma-

---

Niech nas nikt nie nazywa — „szowinistami" jeżeli namacalnie wskazujemy żółknięcie chociażby jednego listka, który ma składać wieniec chwały narodowej, a — samowolnie obumiera. To też uginając czoła przed mistrzowskim pędzlem Henryka Siemiradzkiego oddajemy cześć jego geniuszowi, i wołamy: „Cudowne mistrzu twoje „Pochodnie Nerona"! dzięki za ten królewski dar, jakim ozdobiłeś prastarą stolicę podwawelską, ale czy nie stworzysz nareszcie czegoś więcej jeszcze zrozumiałego — chociażby dla dziatwy polskiej. Stań się chociaż na chwilkę takim „szowinistą" jak Jan Matejko. Roztwórz księgę dziejów narodu polskiego, a znajdziesz w nich bodaj czy nie wznioślejsze epizody, aniżeli w starożytnej Romie".

Przechodzimy teraz do p. Wandalina Strzałeckiego, który po raz pierwszy obesłał wystawę lwowską i od razu ujął nas za serce. Artysta ten, Warszawianin wypłynął na powierzchnię party siłą ducha i woli, a utwory jego tak mile przemawiają przeszłością, że od razu przenoszą w nią ducha myślącego widza.

Zatrzymujemy się przed obrazkiem niewielkich rozmiarów, „Swaty". – Rzecz sięga szesnastego a co najmniej siedemnastego wieku. Osiadł sobie dworek szlachecki w bujnej odwiecznej kniei zapewne na korczunku, któremu jednak sprawy orężne nie dały się bardzo pomiędzy starymi dębami i bukami rozwielmożnić. Barcie pełne miodu i zwierz gruby, stanowią zapewne główny dochód szlachcica Rąbajły. Dworek z berwion grubych mało ociosanych — przed nim ganek i schody z belek jakby do twierdzy leśnej prowadzą. Przed gankiem stoją dwa szłapaki z bujnemi grzywami i szerokoogoniaste — zwyczajnie takie, jakich germkowie używali — których tu przy koniach widzimy; a są to dwa egzemplarze, o jakich tylko już stare kroniki dają wyobraźnię. Wytrawne to sztuki i słudzy wierni pańscy — w pełnej sile męzkiego wieku. Nie obce im tańce z pohańcami, z Moskwą i z Tatarami — a w czasie spokoju nieustanne borykanie się z niedźwiedziami i odyńcami. Jakby z dwóch zakonserwowanych mumii odtworzył artysta te dwa pyszne typy dawnych dworaków, co to w ogień i wodę szli za swym panem. — Dziś spełniają ważny obowiązek. Wyjechali na „swaty". Czy rzeczywiście rycerski młodzian sam przyjechał, lub przyjaciel wypróbowany ma prosić o rękę upatrzonej bohdanki, to wprawdzie trudno odgadnąć, ale sprawa odbywa się po formie. Giermkowie czekają przy koniach zsiadłszy tylko z tychże, drwinkując sobie i bałakając z tęgą dziewką, z czeladnicą, którą zapewne wysłano na zwiady od klucznicy — gdy sam Pan wszedł buńdziucznie i zbrojno do pana brata — dziewosłębując lub bijąc submissyę czołem o pannę chorążankę lub rotmistrzównę. Bo, że to nie od różańca tylko i pługa szedł szlachcic ale co najmniej towarzysz pancernego znaku, o tem już jego giermkowie świadczą, odtworzeni z archeologiczną ścisłością. Oprócz małych usterek w rysunku i zanadto po nowoflamandzku gładko traktowanego kolorytu nie można się dopatrzeć większych usterek. Fantazya kompozycyi nakazuje o nich zapomnieć. Pan Strzałecki jest artystą, który obrał odrębną drogę sztuki rodzajowej, odsłaniającej karty żywota naszych przodków. A to już jest wielką zasługą.

Drugi obraz większych rozmiarów, przedstawia scenę z epoki walki kontusza z peruką — gdy się jeszcze łamie i boryka co żyje polskiego z nieszczęsną Targowicą „Powrót od ślubu". Znowu dwór szlachecki modrzewiowy, budowany i dostawiany z bujną fantazyą domorosłej swojskości, jakiej już dzisiaj prawie zaginęły ślady, a tylko w niewyciętych przez Murawiewów puszczach i niespalonych sadybach pozostały jeszcze te drogie sercu pomniki. Dwór okalają odwieczne drzewa, bo jakże by szlachcic mógł żyć bez ich cienia, chłodu i szumu, który go tak rozczulał i przemawiał mu do duszy. Widz nie może oderwać oka od tego dworu i tych postaci, które się cisną przed ganek. Chléb i sól wynoszą rodzice, aby powitać młodą parę powracającą od ślubu z kościoła. Ze skwapliwością ciśnie się i ułan polski — widocznie legionista, który przybył, aby drużbować serdecznemu koledze. A cóż to tam za życie na wózkach, karabanach — i bryczkach, napełnionych gośćmi weselnymi. Ciekawą rzeczą dla nas, zkąd artysta nagromadził tę mnogość charakterystycznych typowych i zamarłych dziś już w pamięci oboj-ga płci.

Bo łatwiej mu było sto uperukowanych, upudrowanych w haftowanych frakach z rożenkami odmalować figur, jak jednego takiego niby z granitu wyciosanego konfederatę, na którym każda część ubrania każda drobnostka to studyum z natury. Konie, uprzęże, słowem, każdy przedmiot nie dzisiejszy ale ówczesny. Jeden Mickiewicz umiał w „Panu Tadeuszu" z taką

dzeniach i na mocy pozwolenia Świetnego c. k. starostwa powiatowego w Cieszynie z dnia 15. b. m. do liczby 9308. Na mocy tego pozwolenia zagajam i ogłaszam dzisiejsze narady zgromadzenia ludowego za otwarte, pod hasłem: Kochajmy się! Nie dajmy się! Skupiajmy się! Trzymając się kupy, njednajmy się, — ale też ruszajmy się, bo bez ruchu to będziemy trupy.

Na wniosek p. Jana Glajcara, aby przewodniczącego wybrano przez aklamacyę, zgodziło się zgromadzenie, i wybranymi zostali: p. Jerzy Cienciała przewodniczącym, p. Jan Chrobok rolnik i przełożony gminy z Pośredniéj Suchéj zastępcą przewodniczącego, p. Jan Mrózek rolnik i przełożony gminy z Wendryni sekretarzem zgromadzenia.

Stosownie do programu następowały mowy odnoszące się do rezolucyj, które mieli: względem powiększenia liczby posłów z gmin wiejskich p. Jerzy Cienciała; względem sądów pokoju, spraw spadkowych i przymusu legalizacyjnego p. Adam Poloczek mieszczanin z Jabłonkowa; względem równouprawnienia języka polskiego tudzież i czeskiego w sądach, urzędach i szkołach p. Jan Kajzar rolnik z Mistrzowic; względem ustawy przeciw pijaństwu p. Adam Sikora rolnik i przełożony gminy z Nawsia. Z uroczystym nastrojem słuchało zgromadzenie wszystkich mowców, wyrażając im swoje zadowolenie częstemi okrzykami: brawo! tak jest! wszystko prawda itd. (Ponieważ te mowy są ważne, a tem ważniejsze, iż wyrażają życzenia naszego ludu wiejskiego, a nie mogli być obecnymi wszyscy, których one rzeczywiście zajmować mogą, przeto Redakcya „Gwiazdki Ciesz.“ podać je ma następnie ile można w całej obszerności.

Po każdej mowie następowało głosowanie zgromadzenia nad odnośną rezolucją. Najwspanialszą była chwila przy głosowaniu nad rezolucyą o równouprawnieniu językowem. Sprawozdawca przypomniał, jako przeciwnicy naszej narodowości wygłaszają, że tylko kilku agitatorów domaga się równouprawnienia języka polskiego a że ludność księstwa cieszyńskiego jest zadowoloną ze stosunków językowych. Z tym fałszem i ze sfałszowanemi petycyami przeciw językowi polskiemu udali się posłowie śląscy w radzie państwa nawet do ministra hr. Taaffego. Przewodniczący p. Cienciała dając odnośną rezolucyę pod głosowanie, wezwał najprzód, aby ci, którzy są za równouprawnieniem polskiego języka podnieśli ręce. Całe zgromadzenie jednomyślnie, podniosło ręce, jak i przy innych rezolucjach. Ponieważ sprawa językowa jest dla nas najważniejszą, więc przewodniczący oświadczył, że zrobi kontrapróbę, i wezwał, aby ci, którzy są przeciw równouprawnieniu. podnieśli ręce. Ani jedna ręka z tylu tysięcy nie podniosła się. P. komisarz rządowy powstawszy z swego siedzenia, przekonał się o tem. Przewodniczący p. Cienciała skonstatował wobec p. komisarza rządowego, że całe zgromadzenie a z niém i przez nie wszystek lud polski księstwa cieszyńskiego żąda równouprawnienia swego języka; poczem dodał, że ta sama uchwała ma się odnosić także do języka czeskiego w okręgach czeskich, co także jednomyślnie zgromadzenie przyjęło. Ta jednomyślna uchwała zgromadzenia jest uroczystym protestem przeciw posłom śląskim w radzie państwa, i dodajemy, przeciw wszystkim wrogom naszej narodowości, stwierdzając, że za tym głosem odbytego zgromadzenia stoi ogół ludu księstwa cieszyńskiego.

Ponieważ do następnej rezolucyi wyrażającej ufność i uznanie ministerstwu Taaffego, sprawozdawca p. Antoni Świeży, rolnik z Zebrzydowic, nie przybył, zastąpił go przewodniczący p. Cienciała. Objaśniwszy powody, mianowicie jakie zachodzą różnice między dzisiejszém ministerstwem a poprzedniemi rządami centralistów, odczytał rezolucyę: Zgromadzenie wyraża ministerstwu Taaffego ufność i uznanie za to, że stosując się do wzniosłych słów Najjaśniejszego Cesarza naszego Franciszka Józefa I., szczerych dokłada starań, aby pojednać wszystkie ludy i wszystkim równą wymierzyć sprawiedliwość; szczególnie zaś za to, że troskliwie opiekuje się ludnością rolniczą, jak o tem świadczy uregulowanie podatku gruntowego, ustawa przeciw lichwie i inne po części już przeprowadzone, po części dopiero przygotowane. — Zgromadzenie entuzjastycznie uchwaliło rezolucyę, która jest także protestem przeciw wszelkim wichrzeniom centralistycznym.

Uryczystym był teraz moment, gdy przewodniczący oświadczając, że przedmioty programu zgromadzenia są wyczerpane, zwrócił się do zgromadzenia słowy, że Najjaśniejszemu Panu samemu zawdzięczamy dzisiejszy, najlepsze nadzieje rokujący kierunek Austryi, że możemy wyrażać swobodnie nasze życzenia i możemy z pewnością oczekiwać, iz będą spełnione. Całe zgromadzenie podczas tych słów odkryło swe głowy, a przewodniczący wzniósł trzykrotny okrzyk: niech żyje najjaśniejszy Cesarz! powtarzało go zgromadzenie z gorącym entuzjazmem. Muzyka zaintonowała hymn narodowy, który zgromadzenie wraz odśpiewało, a wystrzały moździerzowe podnosiły radość.

Przed zakończeniem odczytano jeszcze telegram przesłany z Czytelni w Morawskiej Ostrawie. Zgromadzenie tak było słyszanemi mowami żywo zainteresowanem i dobrze usposobionem, że prawie rozejść się nie chciało. Bawiono się jeszcze pogadankami przy piwie, z którem ochotni szynkarze cieszyńscy byli na pogotowiu, bo upał i pogoda zachęcały. Przy tem muzyka i spiewy narodowe przyczyniały się do ogólnej wesołości. Podczas tego jeden z mowców improwizował jeszcze następujące wiersze, jakie mu się w tej chwili z piersi wyrwały: — „O przeszczęśliwy dniu lipca ostatniego, zostaw nas w pokoju do sierpnia pierwszego,*) — abyśmy się mogli ucieszyć wzajemnie, wszyscy, co nas gniecie to niemieckie brzemie; — a podajmy sobie nasze śląskie dłonie, niech ich donerwetter niemiecki nie złamie; — gospodarskie dłonie, te są grubej skóry, niechaj nam nie zrobią niemcoszkowie spóry; — najprzód potępiali nasze zgromadzenie, a my z niem nie poszli na niemieckie ziemie; bo niemiecka ziemia nie przyjmie Ślązaków, bo jest zgotowana tylko dla Prusaków.

„Gazeta Krakowska“ a sprawy narodowe.

Młody organ stronnictwa postępowego i w istocie narodowego, którego tytuł wymieniliśmy na czele, zajął się gorliwie, prawdziwie po obywatelsku obowiązkami, które przyjął na siebie.

*) Dla zrozumienia tego wiersza dodajemy, że były pogłoski w mieście, iż fasunkarze chcą zrobić przeszkody zgromadzeniu; lecz widząc tyle dzielnego chłopstwa, spuścili nos na kwintę.

W ciągu krótkiego swego istnienia wyjaśnił nie jedną sprawę, przyczynił się o ile możności do trzeźwego, uczciwego pojmowania zadań narodowych. Nie widzieć tego, byłoby ślepotą albo złą wolą. Ludzie, pragnący lepszej przyszłości dla narodu, nie przeoczą prawdy i uznają ją, gdziekolwiek i zkądkolwiek się ona odzywa. Kreślimy wyrazy te nie bez pewnego wewnętrznego zadowolenia i wyznamy otwarcie, czemu tak jest.

Oto przekonywamy się, że w wielu kwestyach, poglądy nasze i przekonania zgodne są z zasadami wygłaszanemi przez „Gazetę krakowską“. Nie dla tego przenika nas radością ta okoliczność, że mogłaby zadowolić próżność, że znajdujemy kółko ludzi pokrewnych nam duchem — ale dla tego głównie i nadewszystko, że na dwóch odległych krańcach widzimy wiążące się ogniwa zdrowej myśli narodowej, rzeczywistej służby, rozumnie pojętej dla dobra społeczeństwa i narodu polskiego.

Myśmy od dawna przekonani, że prawda jedynie, bezwzględna, choćby niekiedy przykra, prowadzić może do celu. Przekonaniem tem kierowani, stwierdzamy je w praktyce. Ludzie, przywykli do komedyj i wzajemnego przymilania się, do prawienia sobie czczych grzeczności — słowem, do wzajemnego oszukiwania się, krzyczą i potępiają — cóż? Może nas? Broń Boże, potępiają samych siebie, bo nie mogąc odeprzeć tego co powtarzamy, żadnym argumentem, uciekają się do wybiegów, do bezwstydu, do wypierania solidarności z polskością a niekiedy nawet z prostą uczciwością. Zycząc im szczęśliwej drogi do odszukania specyficznie wygodnej ojczyzny, uszczęśliwiającej tych, którzy chodzą krzywymi drogami i widzą zbawienie w tolerowaniu złego, we względach potęg bankowych, w łaskach intruzów obywatelskich — wracamy ciągle do wytkniętego celu, do drogi prostej lubo trudnej i usłanej zasadzkami publicystów, strzelających z za płota.

Dla coraz szerszego koła naszych czytelników, droga, którą idziemy, jest dobrą, bo łatwą do skontrolowania, bo nie odzywamy się dwuznacznie, unikamy mącenia pojęć, nie wierzymy w siłę kadzideł — słowem nie pochlebiamy.

Na tej to drodze spotykamy się z donośnym wyrazem uczuć obywatelskich w „Gazecie krakowskiej“. Przyznajemy równie chętnie, że organ ten, wyposażony korzystniej od nas materyalnie, znalazł się w tem szczęśliwem położeniu, że może wszechstronniej, nie tak dorywczo, pełnić obowiązki propagatora uczciwych zasad i myśli polskich. My dążymy do tego celu od lat kilku, ale owe lat kilka ważą nie mało — pominąwszy trudy wydawnictwa — ważą głównie jako lata cięższych niż dziś prądów reakcyjnych.

W życiu politycznem reakcya i tchórzostwo, to, jak nas przekonało doświadczenie właśnie tych lat kilku, najsilniejsze wybujanie korrupcyi wszelkiej w życiu społecznem i ekonomicznem. Reakcya nie bywa nigdy dziełem ogółu, który zgnieciony klęską, śpi lub żyje, jak w letargu; — reakcya jest zawsze dziełem puszczyków, nietoperzy i kretów, którzy sobie wśród powszechnego znieczulenia wyściełają gniazda, ryją nory lub wgryzają się w słoninę i tyją, dobrem ogółu.

Wówczas to przychodzą ciężkie czasy nocy moralnej. Wyzyskiwacze, sybaryci, karyatydy

---

prawdą obrazować. Że artysta kształcił się na tych wzorach, nie ulega wątpliwości. One mu podały pierwotną myśl, lecz sam reszty moralnie dobadał. Dziś, daje nam całość tak miłą i przyciągającą, iż mu się za to nie tylko uznanie, ale i wdzięczność należy. Zarzucilibyśmy mu koloryt za ciemno mglisty, nie liczenie się wszędzie z zasadami perspektywy — niezupełne jeszcze owładnięcie powietrza w kolorycie na plany, — na czem szczególniej pierwszy plan traci; lecz pomimo tych wad witamy utwory p. Strzałeckiego z prawdziwą radością, bo on usiłuje spłacić dług Ojczyźnie i społeczeństwu, z którego się zrodził. Nie wątpimy ani chwli, że te dwa obrazy znajdą pewnie nabywców pomiędzy rodakami.

Pan Strzałecki, przysłał jeszcze trzeci mały obrazek rodzajowy, któremu oprócz wybornego wykonania niebrak również fantazyi. Scena przedstawia jakąś starożytną opustoszałą kaplicę — zapewne w jakimś opuszczonym zamku, którą biedna rodzina wiejska obrała na mieszkanie, rozgospodarowawszy się w niej na dobre. — Schronisko to ludzkie, które zapewne ostateczna potrzeba spowodowała, wzbudza w widzu pewną senzacyę; w kaplicy pozostało tylko dwoje małych, kilkoletnich dziatek — a służy im za towarzysza i stróża poczciwe psisko. Chociaż to dzień, ale wrodzone przykre uczucie maluje się w twarzyczce starszej dziewczynki — która jakby pod wrażeniem bojaźni słucha, czy się kto niezbliża, lub nie powtórzy się odgłos, jaki może sprawił szczur lub kot hulając po ruinach. Precyzya z jaką ten śliczniutki obrazek wykonany, świadczy o niezwykłem a zawsze poetycznym nastroju ducha artysty.

Nie trzymając się ściśle porządku wystawowego zwracamy uwagę na utwory Grabowskiego Wojciecha, tego wielkiego miłośnika ludu polskiego. Artysta dał na wystawę kilka akwarel: „Mało mieszczankę“ w dawnym pysznym stroju i dwóch „rycerzy średniowiecznych“. Utwory te zwielką sumiennością rysowane uważamy pierwszy jako studjum etnograficzne, a dwa drugie, jako historyczne. Nie można im odmówić wartości; lecz jako akwarelom, aczkolwiek artystycznie traktowanym, zbywa im na miękkości i przeźroczystości kolorytu. Koloryt ten jest za twardy i z pewnym zacięciem rzeźbiarskiem przeprowadzony.

Szczególniej co do kolorytu nagich części ciała jak rąk i twarzy, tym artysta jeszcze nie włada odpowiednio, chociaż w krajobrazach widzieliśmy w albumie artysty wybornie wykończone akwarele.

Natomiast stajemy przed jego najnowszym utworem, rysunkiem kredą „*Ranek we wsi*“. który w piersi choćby najobojętniejszego widza zrodzić musi rzewne uczucie. „Ranek“ ten, to dramat żywota wiejskiego: po lewej stronie widać szereg chat podolskich, odrębny noszących charakter chat, na tak zw. czarnym szlaku tatarskim. Chata przy chacie jakby w trwodze skupione w szeregu, zaledwie wązkie przejścia między jedną a drugą widoczne – nie widzisz ni drzew owocowych, ni innych cień dających, gdyż weszło tam w zwyczaj, że i wierzby nie ujrzysz, chociaż na okół gleba bujna, a przestrzeń faluje kłosem złotej pszenicy i lasem kukurudzy. Po prawej stronie drogi na pierwszym planie mamy tak samo ogołoconą z zieleni drzewnej, a świecącą nędzą chatę; — wiek przyciska staruszkę do ziemi — grozi ostateczną ruiną. U węgła jej pod wybitem oknem, przez które gromnica świeci, upadła bolem złamana niewiasta. W rozpaczy rozpięła ręce chwytając ścianę, jakby przez tę lepiankę chciała zatrzymać ulatującą duszę. Jakbyś słyszał straszny jęk boleści niewiasty, którą ostatnia jej życia podpora opuszcza; a tam drogą błotnistą podąża ku chacie żałoby ksiądz paroch niosąc ostatnią pociechę żywych, poprzedzany przez dziadka kościelnego i chłopię, przewodnika. Bodaj czy i ta ostatnia pociecha zapóźno nie przybywa, bo płonąca w chacie gromnica i boleść niewiasty to już tylko epilog dramatu, jaki artysta w wędrówkach swych podpatrzył. Temat to na oko skromny i zwykły; ale geniusz artysty umiał go podnieść na szczyt tragedyi rodzimej. Kompozycya i technika rysunku są tak świetne, iż takowy bez przesady możemy śmiało postawić obok najznakomitszej spuścizny po śp. Arturze Grottgerze. Że p. Wojciech Grabowski, jako artysta - rysownik jest pierwszym i stoi wyżej pod względem poczucia artystycznego piękna od Andriollego, każdy mu tę słuszność oddać musi, kto sumiennie i z zasobem jakim takim rzeczoznawstwa obydwóch porównuje. O ile Andriolli mnogością swych produkcyj schodzi do roli illustratora, o tyle p. W. Grabowski wznosi się na Parnas sztuki.

C. d. n.

nieruchome różnych gmachów, pilnują spokoju śmierci, nie lubią, żeby im przerywano ciszę, gdy się obżerają; każdy szelest ich trwoży, jak się trwożą szczury i robactwo grobów, gdy przypadkiem zawarczą drzwi grobu na zardzewiałych wrzeciądzach. W takiej atmosferze wylęga się nieuczciwość. Ciężkie to czasy, biada w nich sprawie narodowej, biada wszelkiej uczciwości, biada nawet życiu społecznemu! Myśmy te czasy przebywali, przebywamy; walczyliśmy z korrupcyą, dla tego mamy poniekąd prawo mówić, że cięższe lata przebyliśmy bez pomocy, bez sprzymierzeńców — z wyjątkiem nielicznych a szanownych czytelników, którzy się nie zlękli grobowych głosów wcielonej w dziennikarstwo galicyjskie korrupcyi.

Dla tego to z lepszą otuchą w przyszłość, witamy sprzymierzeńca w duchu i pracy ucziwej w „Gazecie Krakowskiej". I zaraz na wstępie podnosimy jedną z najważniejszych spraw, poruszoną w numerze 30. „Gazety Krak." O ile ważna, o tyle smutna a poniekąd i plugawa to rzecz, na imię jej bowiem: „Moskiewskie wichrzycielstwo w Galicyi".

Podzielamy zupełnie zdanie „Gaz. Krak.", że zadaniem rządu jest rozwinąć godniejszą tego rządu czujność, ale jesteśmy oraz przekonani, że społeczeństwo samodzielne powinno równie dać więcej dowodów tej „samodzielności" niż dotąd. Jeżeli mamy świadomość celów, jeżeli wiemy o złem, to obowiązkiem naszym zniewolić władze do rozwinięcia czynności na polu, pozostawionem bez kontroli na wyzudane wybryki kupionych lub chcących się dobrze sprzedać agentów moskiewskich.

Dochodzące „Gazetę Krakowską" wiadomości o wichrzycielstwie nie są bynajmniej przesadzone, może nawet za blade. Mieliśmy sposobność od czasu do czasu zwracać uwagę na piękne nauki, głoszone w organach moskalofilskich, nauki oparte na tem głównie, że „Lachów wyrżnąć trzeba" lubo wygłoszone w odmienny nieco sposób. Wyrażaliśmy niejednokrotnie zdumienie, jak mogą ci, do kogo to należy, spoglądać pobłażliwie na taktykę moskalofilów. Taktyka to zaś przyjęta od nihilistycznych publicystów pp. Aksakowa i Katkowa. Używa się reminiscencyj historycznych, zawsze przekręconych i wystawia, że „chłopi na Rusi zawsze cierpieli ucisk pod szlachtą polską, więc i dziś ta szlachta główną przyczyną cierpień ludu". Naturalnie, że bojary moskiewskie figurują jako baranki niewinne, które ten lud, a właściwie „mużików", jak „Słowo" włościan nazywa, bardzo kochali. W ogóle czasy i stosunki dawne, są u tych propagatorów caroslawia zawsze miarą dla położenia dzisiejszego, a w „Prołomie" nawet „pańszczyzna" odgrywa rolę narzędzia budzenia nienawiści.

Przeciw tej zbrodniczej taktyce i wichrzycielstwu występuje „Gazeta Krakowska". Bardzo racyonalny ustęp pozwalamy sobie tu powtórzyć, tembardziej, że zdrowego zdania nie powinno się przemilczać, ale owszem powtarzać je jak najczęściej. Ustęp ten opiewa:

„Jeżeli te wiadomości (o wichrzycielstwie,) w każdym, miłującym ojczysty kraj i jego lud obudzić muszą największą boleść i oburzenie, to z drugiej strony nie znajdujemy wyrazu dla zdumienia, jakiem nas przejmować musi widok niewytłumaczonej obojętności tych właśnie czynników, które owej szkodliwej agitacyi głównie przeciwdziałać powinny.

„Mamy tu na myśli rząd krajowy, złożony dziś prawie wyłącznie z samych rodaków, i na którego czele stoi Polak. Czyżby owa ospałość i umysłowe lenistwo, — chowające jak struś głowę przed niebezpieczeństwem, aby go tylko niedojrzeć, lub owa fatalistyczna rezygnacya właściwa „w pewnej" mierze charakterowi polskiemu, a wyrażająca się osławionem „jakoś to będzie" miały rozpościerać się także w sferach rządu krajowego? Lub czyżby prawdziwą być miała owa mniemana sympatya naszego namiestnika dla rządu moskiewskiego, o którym niedawno w swym raporcie urzędowym hr. Ignatiewowi przedłożonym, zaświadczyć miał gubernator kijowski, gdy się rozchodziło o nabycie lasów, któremi JE. hr. Alfred Potocki rozszerzyć chciał swoje posiadłości ukraińskie? Lub czyżby wreszcie posiadanie zakordonowego majątku paraliżować mogło energię namiestnika w ukróceniu owych wichrzeń moskiewskich czynownictwa?

„My w to wszystko nie chcemy wierzyć, gdyż nie mamy powodów do podejrzywania hr. Alfreda Potockiego, nietylko o brak patryotyzmu polskiego, ale choćby tylko o brak dbałości, o dobro monarchii austyackiej, której piętą Achillesową wobec Moskwy jest właśnie Galicya, a zwłaszcza jej część wschodnia. Stwierdzamy jednak fakt, że z d r a j c y i z a p r z a ń c y ś w i ę t o j u r s c y i i c h a j e n c i s i e j ą w c i ą ż i c o r a z z u c h w a l e j a z u p e ł n i e b e z - p r z e s z k o d n i e i b e z k a r n i e z i a r n o s z y z m y i z d r a d y k r a j u — i że Moskwa w przyszłem starciu z Austryą znajdzie tu sojuszników, i grunt należycie przygotowany, — a o tłumieniu tych zgubnych praktyk, nic zgoła nie słychać?

„Wypowiemy w tym względzie z całą otwartością myśl naszą, choćbyśmy tem dotknąć mieli niemiłe pewne osoby lub ich koterye, — *„nam amicus nobis Plato, sed magis amica veritas"*. Oto nie chcemy wątpić, że Jego Ekscelencya pan Namiestnik jest dobrym Polakiem, — nie wątpimy również, że jest on patryotą austryackim, dbałym o dobro monarchii, — wierzymy wreszcie, że jest człowiekiem zacnym i szlachetnym. Lecz o czem ośmielamy się wyrazić nasze powątpiewanie, to o tem, by on w o b e c n e j z w ł a s z c z a c h w i l i, wobec jawnego i niezaprzeczonego antagonizmu między Moskwą i Austryą, i wobec wrogich usposobień caratu względem monarchii rakuzkiej, dorósł stanowiska namiestnika cesarskiego w t a k e k s p o n o w a n y m n a i n t r y g i z a m a - c h y moskiewskie kraju, jakim jest Galicya. — Do zajęcia tak ważnego dla nas, a pośrednio i dla całej monarchi stanowiska, potrzebnym byłby mąż wypróbowanej energii, niepotrzebujący się przytem oglądać na to, czy w Petersburgu to lub owo będzie mile widzianem, i czy z tamtąd nie będą zarządzone jakie materyalne represalia, mąż wreszcie kochający zarówno lud polski jak ruski, a zdolny i osobistemi zasługami w opinii kraju wysoko postawiony.

„Gdyby nieszczęsny dualizm władz i ich podział na rządowe i autonomiczne nie istniał, i gdyby raz weszła w życie trafna i szczęśliwa myśl, zawarta w znanym wniosku sejmowym posła a obecnego ministra Dr. Dunajewskiego, o organizacyi władz administracyjnych w Galicyi, mielibyśmy gotowego, obecnemu położeniu kraju odpowiedniego naczelnika w osobie dzisiejszego marszałka krajowego. Jego gorący patryotyzm, szczera miłość ludu ruskiego, którego jest synem i przysłowiowa energia byłyby rękojmią, iż znalazłby on rychło właściwe środki i drogi, do wyzwolenia poczciwego bratniego ludu ruskiego, z pod demoralizujących wpływowściowej nikczemnej szajki zaprzańców świętojurskich i wichrzycieli moskiewskich.

„Dla tego wzywamy Szanownych posłów naszych, by na nadchodzącej sesyi sejmowej sprawę owej organizacyi nieomieszkali poruszyć na nowo z własnej inicyatywy, a zarazem nie wahali się dotknąć tej ważnej kwestyi społeczno-politycznej, o której piszemy, czy to w formie interpelacyi, czy też w inny, za najwłaściwszy uznany sposób. Rządowi krajowemu zaś przypominamy jego odpowiedzialność wobec narodu i monarchi za następstwa, jakie z dalszego bezkarnego wichrzycielstwa moskiewskiego w Galicyi wyniknąć mogą."

STEFAN DOBRYCZ.

Wspomnienie pośmiertne.

W pierwszych dniach sierpnia umarł w Nowem-Mieście nad Pilicą w Królestwie Polskiem śp. Stefan Dobrycz, obywatel miasta Warszawy, szlachetny człowiek, najzacniejszy patryota polski.

Słów kilka, kreślących niektóre szczegóły z życia ś. p. Dobrycza, przytaczamy naprzód z „Dziennika Poznańskiego", resztę uzupełniamy zkądinąd, a zdaje się nam, że nie koniec na tem, że znajdą się ludzie, którzy podadzą wyczerpujący życiorys, ażeby pamięć tego szlachetnego męża przeszła do potomności. Coraz mniej takich, więc może przykład, piękne ich czyny, szlachetne pobudki — obudzą naśladowców. We wspomnieniu tem o śp. Dobryczu,[1] czcimy pamięć prawdziwego a r y s t o k r a t y c z y n u, najszlachetniejszego w Rejtanowskim znaczeniu m i ł o ś n i k a o j c z y z n y i w o l n o ś c i, człowieka w pojęciu czystego chrystyanizmu, o którym w istocie rzec można, że kiedy robił dobrze, to „lewica jego nie wiedziała co czyni ręka prawa".

Przytaczamy jednak nasamprzód szczegóły sprawozdawcy „Dzien. Poznańskiego", któremu należy się wdzięczność, że podzielił się z publicznością polską tak zwięźle a wiernie charakteryzującemi słowy wiadomością o życiu patryoty. Oto one:

Stefan Dobrycz, syn kupca Dobrycza, zaledwie ukończył szkoły i jeden z zagranicznych uniwersytetów, wszedł do spisku w roku 1846, a był w nim jedną z najwybitniejszych postaci. Aresztowany w lutym wraz z ś. p. Ruprechtem i Mi reckim, skazany został na śmierć przez powieszenie. Pod szubienicą, na stoku cytadeli warszawskiej, już po założeniu na szyję stryczka, został ułaskawiony i zesłany na Sybir do ciężkich robót. Długie lata tam przecierpiał i dopiero w r. 1859 został amnestyowany. Powrócił do Królestwa i osiadł na wsi, jaką w spadku po ojcu otrzymał, w powiecie Rawskim nad Pilicą. Następnie brał żywy udział we wszystkich pracach organicznych, jakie się wówczas w Królestwie Polskiem rozwinęły, a gdy wybuchło powstanie w r. 1863, przyłączył się natychmiast do takowego i zajmował jedno z najwybitniejszych stanowisk w organizacyi narodowej powiatu rawskiego. Bardzo sympatycznej powierzchowności, zacny, szlachetny, pojednawczy a szczery i gorący patryota, wywierał wpływ dobroczynny na każdego, co tylko się z nim zetknął. Wiele cierpiał i przebolał — wiele pracował, a nigdy najmniejsze słowo chełpliwości z ust jego nie wyszło. Służył gorliwie, bezinteresownie i uczciwie ojczyźnie i zawsze uważał, że za mało dla niej pracował i za mało zasług względem niej okazał. Był to jedyny żal i jedyna skarga, jaka z duszy się jego wyrywała; o swych cierpieniach jakie w cytadeli przechodził, o skazaniu go na śmierć i stawieniu pod szubienicą, o przykrościach doznanych na Sybirze nigdy nie wspominał. Zgoła słusznie uważał się za dłużnika ojczyzny, a nie za jej, jak wielu się uważa dobrodzieja. I dla tego do końca życia biorąc udział we wszystkich pracach obywatelskich polskich, dług ten z miłością a sumiennie matce Polsce spłacał, a dodamy prawie zbytecznie, nie żądając za to ani żadnych kadzideł — ani pochwał, ani owacyj jakichbądź, ani tem mniej jakiejś odznaki lub wynagrodzenia. Śp. Stefan Dobrycz był wyznania wschodnio-greckiego i z tego też względu staczał walki z rządem rossyjskim, który koniecznie chciał go zaliczać do prawosławnych. Warszawie i Królestwu, które znały i znają od dawna uczciwy ród Dobryczów, a zwłaszcza śp. Stefana, nie będzie danem wypowiedzieć głębokiego żalu, jaki wywołuje w nich strata śp. Stefana. Niechże więc słowa nasze nieudolne, cośmy go znali, cenili i kochali, będą choć słabym wyrazem żalu po tej zacnej duszy. —

Otóż w ogólnych zarysach działalność człowieka, obywatela i patryoty. Przechodzimy do szczegółów nie mniej zajmujących, do chwil, w których zacna rodzina mieniem i łzami opłacita życie godnego syna ojczyzny. Stefana Dobrycza, młodego podówczas, gdy został skazany na śmierć haniebną za to, że ukochał wolność ojczyzny, wyratowały najprzód znaczne sumy, które rodzina złożyć musiała satrapom moskiewskim; lecz odwróciła odeń cios stanowczy nadewszystko czcigodna matrona, sędziwa babka. Dziewięćdziesięcioletnia staruszka pospieszyła do ówczesnego satrapy Warszawy i lubo ciężko jej to przyszło, padła na kolana, zaklinając na wszystko o złagodzenie wyroku. Wnuk nie żądał takiego poświęcenia, nie byłby o nie prosił, ale serce matki rodu przeczuwało, że człowiek ten potrafi więcej jeszcze dla Polski zrobić. Nie omyliło ją przeczucie. Śp. Dobrycz, jak już wiemy, częściej milczący, lubo zawsze czynny, mógł był o sobie powiedzieć za poetą: „N i g d y m i, k t o s z l a c h e - t n y — n i e b y ł o b o j ę t n y !"

A gdzież — spytamy, więcej szlachetności, jak w ludziach, którzy się poświęcają dla dobra kraju, dla wyzwolenia go z pęt niewoli? Podobnych było wielu zesłanych w Sybir wraz z Dobryczem. Gdy powrócili, było to w czasach nie tak szalonej eksterminacyjnej walki przeciw żywiołowi polskiemu, więc w instytucyach krajowych znaleźli pracę. Okres ten wszelako minął zbyt szybko, bo nienasyceni w chciwości próżniacy i sybaryci moskiewscy musieli mieć ofiarę, a dobrotliwy rząd cara, wydał im Polskę na ofiarę. Wówczas to wszyscy prawie uczciwi ludzie zostali pozbawieni chleba. Znaną jest klęska rodzin ludzi tak zwanych „spadłych z etatu".

Kiedy w położeniu tem znaleźli się i dawni koledzy i przyjaciele Dobrycza, on został ich duchem opiekuńczym. Nie słowem, nie marną pociechą i radą im służył, ale sercem i c z y n e m.

Czyny te zapisane z pewnością w pamięci tych, którzy go przeżyli.

W tych także ciężkich czasach po powstaniu roku 1863, kiedy się zmieniły warunki bytu i stosunki, kiedy jedyny objaw życia narodowego, krystalizował się tylko w słowie polskiem, w literaturze peryodycznej — widzimy znów Dobrycza pojmującego i w tych ciężkich czasach obowiązek obywatelski, jak przystało arystokracie czynu i ducha. Ponieważ literatura była tym objawem, więc dbał o to, ażeby nie pominąć żadnego z wydawnictw peryodycznych, żadnej publikacyi ważniejszej.

Na jego stołach w domu i na jego kantorku w handlu — obok ksiąg kupieckich, musiały się

znajdować wszystkie, ale to literalnie wszystkie czasopisma wydawane w Warszawie.

To nie miłośnik z kaprysu zajmujący się, dla mody prenumerujący tyle pism — to prawdziwy, pojmujący obowiązki obywatel. Gdy nie mógł działać dla kraju więcej nad to, co można było w cichości, musiał myśleć o Polsce.

Kiedy w ostatnich czasach podupadłszy na zdrowiu, wyjeżdżał częściej na wieś, wówczas polecał nadewszystko, ażeby mu czasopisma przysyłano jak najregularniej. Ciężkim nieraz smutkiem zasępiało się otwarte jego czoło, gdy myślał o młodem pokoleniu, łzą zachodziło oko, gdy smutne wieści dochodziły z innych prowincyj dawnej Polski. Każda korespondencya z Galicyi, z Poznańskiego, zajmowała go żywo. Czekał, ażali tam nie błyśnie ożywcze światło, lecz w oczekiwaniu tem zachęcał innych do pracy i wytrwałości. — Kończąc, powtórzyć musimy: szlachetne te zwłoki, w życiu codziennem kupca i obywatela polskiego, ożywiał duch prawdziwego arystokraty czynu. Cześć jego pamięci!

Czasopisma warszawskie, którym nie wolno było poświęcić wspomnienia obszerniejszego, odezwały się krótko, ale wymownie. Oto wzmianka jednego z czasopism warszawskich:

„Pogrzeb ś. p. Stefana Dobrycza odbył się wczoraj dn. 9. sierpnia o godzinie 5. popołudniu na cmentarzu ewangelicko-augsburskim za rogatkami Wolskiemi pod Warszawą. Zwłoki czcigodnego starca przewiezione z Nowego-Miasta nad Pilicą i złożone tymczasowo w kaplicy Halpertów na cmentarzu ewang., przeniesiono wczoraj do grobu familijnego na tymże cmentarzu. Ś. p. Dobrycz, przekazawszy komu innemu kierunek swoich interesów handlowych i opuściwszy przed kilku laty Warszawę. pisał w zaciszy wiejskiej pamiętniki swego życia; lecz ogień zniszczył tę pracę. Niemniej przeto cześć zasłużona, która towarzyszyła zwłokom otoczy też i pamięć cnotliwego obywatela.“

Z Izby Sądowej.

W środę b. m. odbył się ostatni akt procesu w sądzie karnym sekcyi III. we Lwowie, o którego początku donosił „Sztandar polski“ w ostatnim numerze. Zakończenie to jest jednym obrazkiem więcej dla tego, ktoby chciał poznać bliżej moralną stronę kredytowego Banku włościańskiego we Lwowie.

Sprawę przeprowadzał Dr. Bojarski. Oskarżonego p. P. sekretarza dyrekcyi Banku włościańskiego zastępuje Dr. Maly. Dr, N. (strona skarżąca) staje tym razem bez pomocnika prawnego.

Gdy p. P. oprócz znieważenia czynnego p. Dr. N. poczynił zarzuty, jakoby tenże w czasie, gdy urzędował w banku włościańskim, dopuszczał się nawet szpiegostwa przez szperanie po aktach w godzinach pozaurzędowych, przeglądanie dokumentów, wypisywanie notat, denuncyowanie a nawet zdefraudowanie jakiegoś dokumentu, zawezwał sąd dwóch woźnych tegoż Banku, dwóch urzędników pp. Langa i Reissa, a nakoniec jednego z dyrektorów p. Dr. Wiktora Zbyszewskiego, z których p. Langa i jednego woźnego zaprzysiężono. Otóż aparat ten świadków, który miał udowodnić dopuszczenie się haniebnych czynów p. Dr. N., jakie mu p. sekr. P. zarzucał, zeznał jako najzupełniejszą prawdę, że Dr. N. bardzo często bywał i po kilka godzin przesiadywał w biurze po za godzinami urzędowemi, ale nie dla nadużyć, lecz z powodu prac nie cierpiących zwłoki, którymi go obarczano. Zeznania świadków udowodniły wszechstronnie i nie pozostawiły najmniejszej wątpliwości, że p. Dr. N. nawet za kolegów wyrabiał restancye i jak to mówią pracował za dwóch; wszelkie zaś podejrzenia jakiemi p. P. sekretarz Dyrekcyi usiłował skarżącego zniesławić mogły tylko wylądz się w nieuczciwości. Taki był wynik świadectw, które zakończyło zeznanie Dr. Wiktora Zbyszewskiego, że pan Dr. jako człowiek pilny i zdolny używany był wszędzie, gdzie to Dyrekcya uważała za potrzebne.

Z toku rozprawy dowiedzieliśmy się, że nie szperania p. Dra N., ale gadania p. sekretarza Dyrekcyi P. wykryły defraudacye popełnione przez pp. dyrektorów Frieda i Romaszkana, a które p. P. usiłował głównie zwrócić na dyrektora p. Frieda i w tym celu namawiał Dra N. do groźb i denuncyacyj. Gdy Dr. N. nie chciał tego uczynić, rozpoczął p. P. przy pomocy p. br. A. Romaszkana prześladowanie tegoż: wydalono ojca Dra N., który pracował w tym banku, szwagier równie został pozbawiony kawałka chleba, a nareszcie samemu Dr. N. nic innego nie pozostawało jak Bank opuścić. Gdy taka utrata sposobu do bytu aż trzech członków rodziny stanowiła dla niej katastrofę, Dr. N. jako syn zmuszony był podać matce przyczyny, dlaczego opuszcza Bank i samowolnie naraża rodzinę na nędzę. Matka zrozpaczona bez wiedzy syna podała wiadomą skargę do ck. Prokuratoryi, skąd poszły nieprzyjemne nieporozumienia pomiędzy matką a synem, gdy się tenże o tym fakcie dowiedział. Pomimo braku wszelkiej wątpliwości, że tą a nie inną drogą weszła skarga do c. k. Prok., p. P. i tegoż obrońca śmieli jednak powątpiewać o wiarygodności tych zeznań. Dr. N. ofiarował w tym względzie przysiegę i uczynił wniosek odebrania takowej od matki. Sąd jednak wniosku tego nie uwzględnił, gdyż obecna rozprawa ograniczała się głównie do znieważenia czynnego, za które p. P., sekretarz Dyr. Banku włość. skazany został na zapłacenie 40 zł. kary, ewentualnie na 4 dni aresztu.

Cała ta sprawa jakkolwiek na oko nie wielkiej doniosłości, rzuca jednak nader smutne światło na wewnętrzne stosunki Dyrekcyi Banku włościańskiego. Ciało to finansowe jest na wskróś nietylko na zewnątrz ale i wewnątrz zgangrenowane, a zupełny rozkład tegoż jest już tylko kwestyą czasu. Najrozmaitszego rodzaju defraudacye i nadużycia są nietylko na porządku dziennym na prowincyi, po powiatach, w biórach pp. naczelników, lecz i w samej Dyrekcyi widocznem jest, że się toczy zacięta walka, kto kogo zwycięży i kto najwięcej dla siebie zdobyć potrafi. Dreszcz przechodzi na samą myśl, jaka katastrofa nawiedzi kraj, gdy ta nora rozboju publicznego runie, ten wrzód naszych stosunków ekonomicznych się rozleje. Przekonani jednak jesteśmy, że ck. Prokuratorya nader prędko znajdzie sposobność i podstawę do położenia ręki na tej strasznej niemoralności.

Zdaniem naszem nie należałoby dopuścić zatarcia śladów krociowej defraudacyi zawartych w aktach banku włościańskiego, istnienie których i pan Dr. Maly (może nie tylko w skutek informacyi p. P.) w obronie p. P. przed sądem stwierdzał, zarzucając p. Dr. N. jakoby on z aktów przekonania o malwersacyach nabrał.

(P. S.) O manipulacyi fruktyfikacyjnej p. Dr. Frieda polegającej na umiejętnym korzystaniu z odklejanych z w obiegu będących weksli i innych dokumentów marek stemplowych nie mówimy — chociaż i tej okoliczności chciał p. P. przy pomocy p. Dr. N. przeciw p. Dr. Fr. użyć.

KORESPONDENCYE.

Drohobycz 8. sierpnia 1881.

Więcej jak od pół roku poruszone są umysły nie tylko w mieście naszem, lecz w całym powiecie sprawą dobroczynnej działalności zakładu filantropijnego „Deriszkiru“ tak zwanego c. k. uprzywilejowanego zakładu kredytowego włościańskiego.

Bardzo wielu gospodarzy gruntowych tak z Drohobycza jakoteż i innych gmin w tym powiecie a mianowicie: w Neudorfie, w Bolechowcach, w Załokciu, w Tustanowicach, w Rychcicach, w Podbużu, w Urożu, w Stebniku, w Woli Jakóbowej, w Lityni, w Niedzwiedzy, w Oziminie, w Prusach, w Rolowie, w Smólnej, w Sniatynce, w Dołhem koło Medenic, w Liszni, w Rabczycach, w Letni, w Brygidynie, w Wacowicach, w Lipowcu, w Tynowie i w Schodnicy zostało przez bióro pow. tego banku w Drohobyczu rzeczywiście ze skóry obdartych na różne kwoty pieniężne; a pomimo iż co roku przyjeżdża inspektor zakładu na skontrum, przecież nie udało mu się od czasu założenia filii aż do roku 1880 wykryć jakiegokolwiek braku. Dyrekcya tego zakładu we Lwowie aczkolwiek dokładnie wie, iż należy się tych, którzy pewne te kwoty w biurze powiatowem Drohobyckiem wpłacili — pokwitować, co im nawet podobno p. hr. Łączyński inspektor tego zakładu podczas bytności swej zeszłego roku tutaj przyrzekł, niechce obecnie ani słyszeć o tem, pomimo próśb kilkakroć wnoszonych przez pokrzywdzonych włościan.

Gdyby się tutaj rozchodziło o kilkadzieciąt albo o parę set reńskich, to może jeszcze dłużej staralibyśmy się w drodze poufnej korespondencyi z Dyrekcyą zakładu „Deriszkiru“ tę sprawę przeprowadzać, lecz tutaj chodzi o kilka a może o kilkanaście tysięcy reńskich!! Z tego powodu nie możemy dłużej zwlekać i upraszamy Wysoką c. k. Prokuratoryę Państwa, ażeby raczyła w swe ręce tę sprawę wziąść, a sądzimy, że tym sposobem wszyscy pokrzywdzeni włościanie w tym powiecie łepiej na tem wyjdą, aniżeli gospodarze gruntowi swego czasu z powiatu Żydaczowskiego w analogicznym wypadku wyszli. Szczególniejszej zaś opiece Wysokiej c. k. Prokuratoryi Państwa polecamy Jana Bilika i Mikołaja Thomasa z Krynicy, których narzekania we Lwowie słyszeliśmy, gdyż mając długi u Backenrotha i Lorbenbauma z Medenic i u księdza proboszcza Boberskiego zaciągnięte — byli zmuszeni w zakładzie „Deriszkiru“ zaciągnąć w roku 1879 jedną pożyczkę, a gdy ta im nie wystarczyła i drugą pożyczkę.

Z tych pożyczek miało biuro powiatowe zakładu w Drohobyczu długi Bilika i Thomasa powyżej wymienionym wierzycielom spłacić; — gdy zaś wierzyciele jeszcze i później napadali Bilika i Thomasa i upominali się o swe pieniądze, udali się ci do Dyrekcyi zakładu do Lwowa osobiście celem wywiedzenia się u źródła, co się właściwie stało z pieniądzmi przeznaczonymi dla ich wierzycieli??... lecz prawie nic się nie dowiedzieli!! Dyrekcya zakładu zbyła ich się przyrzeczeniem, że sprawę tę zbada, — i sprawa ta dotąd tak stoi!...

W tece naszej znajdują się bardzo ciekawe fakta do historyi zakładu „Deriszkiru“, które wkrótce przyrzekamy ogłosić w Waszem piśmie, które jest prawdy sługą i to pod tytułem: „Krótki rys do historyi c. k. zakładu kredyt. włościańskiego“. Pomiędzy innemi mamy i takie fakta, które posłom naszym, jeżeli kadencya sejmowa dłużej potrwa — do poobiednej siesty celem rozerwania ich w żmudnej pracy parlamentarnej znużonego umysłu jako najdzwyczaj ciekawą lekturę przedłożymy.

Może po tym ogłoszeniu naszem nie będzie miał odwagi człowiek wprawdzie wielki, lecz tylko wzrostem — nieskazitelny lecz chyba tylko swoją czystą a zatem nieskażoną łysiną — c. k. notaryusz, burmistrz miasta i zastępca marszałka powiatu, rzucać potwarze na hr. Krukowieckiego na zgromadzeniu z roku 1879 i nazywać tych, którzy wykrywają nadużycia „Deriszkiru“ socyalistami, nihilistami i że argumentami dynamitowemi chcą ten arcyfilantropijny zakład w powietrze wysadzić!!

Kraków 7. sierpnia.

(Korespondencya „Głosu Stanisł.“)

Że „Kronika krakowska“ i „Krakowianin“ zakończyły swoje... „wychodźtwo“ o tem czytałem już w waszym „Głosie“. Zachodzi teraz pytanie dlaczego te dwa, oraz dlaczego w ogóle pisma upadają? Będzie to kwestya nie tylko odnosząca się do naszego grodu, ale do całego kraju.

„Krakowianin“ (czy „Kron. krak.“ bo nie mam pod ręką ostatniego numeru) umieszcza „Łabędzi spiew“ w swoich łamach, gdzie przypisuje w części winę redakcyi, że nie mając dostatecznych funduszów, rozpoczęła wydawnictwo, przy nie odpowiednich siłach — a w końcu przychodzi do konkluzyi, że w Krakowie żadna prócz „Czasu“ gazeta utrzymać się nie może.

Jeżeli niedostateczne siły literackie przyczyniły się do upadku „Krakowianina“ i „Kroniki krak.“ to „Muzeum“ pismo nader starannie redagowane i bogatej treści, nie z tych chyba powodów upadło. Toż „Kuryer“ wychodzący tu ongi, toż „Szkice literackie“ bardzo ruchliwe pisma, także upadły dla braku... czytelników? mniemacie? — nie!! dla braku poczciwości, wyraźnie poczciwości!

Ogólnie narzekamy na księgowstręt, na niechęć do czytania, ale rzecz ta przedstawia się zupełnie inaczej. Rozpoczynając wydawnictwo, tak tu, jak i wszędzie rozseła się numer „na okaz“ raz, drugi, — potem umieszcza się prośbę „od redakcyi“ lub „administracyi“, aby osoby nie życzący sobie odbierać pisma, takowe zwróciły z poczty; — ten i ów zwróci, pewna część uczciwych odbiorców przyseła przedpłatę, druga część nie przyseła ale pismo przyjmuje. Upływa kwartał, pojawiają się znowu od „Redakcyi“ lub „Administracyi“ przypomnienia, poseła się także pisemne odezwy lub „kartki korespondencyjne;“ wszystko jedno: jedna część uiści się znowu z należytości, druga nic nie odpowie ale pismo przyjmuje. Jestem na tyle doświadczony w tej mierze, że gdybym otrzymał spis adresów, pod którymi wysełacie „Głos stan.“ natedy podkreślić mógłbym z góry imiona tych, którzy liczą na „durniczkę“, mógłbym powiadam wykazać ich imiennie, bo proceder swój niepoczciwi prowadzą już od czasu, kiedy w Stanisławowie zaczęto wydawać „Omnibus“ — dla którego pracowałem wtedy.

Nasuwa się pytanie, dlaczego redakcye takich wyzyskiwaczy nie zawezwią po imieniu? Oni bowiem winnymi się stają trojakiej krzywdy: Krzywdzą poczciwych prenumeratorów, bo ich kosztem opędzać zmuszają wydawnictwo, z którego korzystają — krzywdzą wydawcę, narażając go na stratę i krzywdzą całą okolicę moralnie, bo jeżeli skutkiem wielkiej liczby „niepoczciwych odbiorców“ pismo upadnie, natedy kraj z tego jak najgorzej sądzi o obywatelach, powstają zarzuty ogólnej ciemnoty i obskurantyzmu panującego w tym a tym zakątku naszej ziemi. Dlaczego redakcye takich wyzyskiwaczy nie zawezwią po imieniu? Nie rozumiem tej łaski. — Dlaczego im nie przestają posełać pisma po dziesiątym — dajmy na to numerze?

Na to ostatnie pytanie odpowiedź taka: Trudno jest przewidzieć zgóry, czy ten lub ów odbiorca jest wyzuty z wszelkiej poczciwości, a uważać też za takiego, każdego, co w oznaczonym terminie nie nadseła należytości, nie podobna; żadnego bowiem w takim razie nie możnaby rozpoczynać wydawnictwa. W całym zresztą świecie kredyt gra ważną rolę, zaufanie i dobra wiara potrzebne są w stosunkach handlowych i społecznych i przyczyniają się do ożywienia ruchu i interesów ludzkich; zaprzestać posełać pismo, zna-

czyłoby tyle, co podejrzywać kogoś jawnie o zamiar oszustwa i wątpię, czyliby sumienny obywatel był zbudowany szczególnie takiem postępowaniem redakcyi. Po półrocznem albo rocznem istnieniu gazety, poznaje się dopiero z kim się miało do czynienia, lecz wtedy i dalsze wydawnictwo już staje się niemożebnem i pismo upada, a po kraju rozchodzi się wieść jak zaraza, jak wyżej pawiedziałem, że w tem a tem mieście, w tej a tej okolicy mieszkańcy i obywatele odznaczają się ospałością, ciemnotą umysłową, księgowstrętem, są zacofani itp. Oczywiście że są zacofani, ale w poczuciu moralnem, w pojęciach sumienności. Upadające w skutek takiej niepoczciwości pisma. powinnely przynajmniej opublikować tych szkodników, a „Krakowianin“ i „Kronika krak.“ tembardziej, aby „Gazeta krakow.“ nader potrzebna, nader pożyteczna i wielką mogąca oddać usługę krajowi, nie znalazła się także w konieczności zawieszenia wydawnictwa — dla braku czytelników, nie można powiedzieć — ale dla nadmiaru niepoczciwych odbiorców.

Na tych słowach poprzestaję, bo braknie mi miejsca na wiadomości bieżące; w każdym razie zawiera list mój rys charakterystyczny ze stosunków społecznych grodu podwawelskiego, a bodaj czy nie analogicznych ze stosunkaml wydawnictw całej Galicyi?

ECHA LWOWSKIE.

Jestto z doświadczenia znane, że ile razy „niedzielny kronikarz“ „Dziennika polskiego“ — nie zdąży zabawić się w numerze niedzielnym w humorystykę — można być pewnym, że cierpiał na halucynacye, które następnie w tece kronikarskiej nie mały sprowadzają zamęt jakby w jakim ciemnym labiryncie. W takim wypadku nie można się dziwić, że „popełniający kronikę“ puszcza w trąbę swój kilkunastoletni zawód i idzie w ślady pewnego utalentowanego rodaka rzeźbiarza, któremu przyszło na myśl porzucić dłuto. i założyć „Greislerei“. — Otóż i nasz nieoceniony kronikarz niedzielny, pod wpływem kanikuły, i wskutek widocznie spotęgowanego rozgrzania umysłowego — postanowił zostać adwokatem w sprawach karnych. O klienta nietrudno — ale żeby nie na wiatr mecenasować obrał sobie jednego z wielkich dobrodziejów ludzkości, p. Bonifacego Stillera pana na borowinie morszyńskiej i innych błotach i wodach, uzdrawiających nie tylko ciało ludzkie ale i kieszeń, mianowicie Galicyjskiego towarzystwa lekarskiego.

Jak wiadomo już czytelnikom naszym, popełnione zostało w Morszynie podczas tegorocznego sezonu morderstwo na napędzonym z Zakładu kelnerze, któremu w nocy przyszła ochota wchodzić po drabinie na werandę a jak miano rzeczywiście skonstatować miał tenże w kieszeni kilka czy pudełko zapałek. Otoż p. Janowi Lamowi przywidziało się podczas napadu halucynacyjnego, że kto mógł tyle lat pisać nietylko kroniki niedzielne, ale i „pannę Emilią“, „Koroniarza w Galicyi“, „Głowy do pozłoty“ i t. p., dlaczegoż by nie mógł się zabawić w adwokata takiego miłośnika ludzkości, jakim jest — błotko Morszyńskie. Niechcąc, aby nas kto posądził, że usiłujemy przekręcać fakt przytaczamy dosłownie obronę prowizorycznego adwokata p. Jana Lama w tej sprawie, która brzmi:

„Właściciel zakładu morszyńskiego oddalił służącego, podejrzanego o kradzież, dawszy mu pieniądze na drogę. Odprawiony zamiast wyjechać, wałęsał się po wsi i odgrażał się głośno, że podpali główny budynek zakładowy, w którym mieści się dwadzieścia kilka rodzin, w których skład wchodzą oczywiście także osoby mocno chore. P. Stiller zaniepokojony groźbami, polecił trzem robotnikom zajętym około czyszczenia stawu, ażeby za odpowiednią zapłatą czuwali w nocy nad bezpieczeństwem zakładu. Ci spostrzegłszy wśród ciemności coś podejrzanego, snującego się w krzakach, i obliczywszy, że liczba ich 3 nie da się podzielić w ten sposób, ażeby z każdej strony domu mogli przeważnemi siłami odeprzeć zbrodniarza widocznie na wszystko zdecydowanego, zbudzili łaziennego, znanego gościom z dobroduszności, Józefa. Ten uzbroił się w dubeltówkę, i dla postrachu, słysząc szmer jakiś, dał z niej ognia w górę. Na nieszczęście — a może na szczęście, znajdował się w górze zbrodniarz, który wydrapawszy się na werandę, przystępował (?) już do aktu podpalania, i szczególnym trafem padł ugodzony tak fatalnie nabojem śrótu, że na miejscu wyzionął ducha. Najlepszym dowodem(?), że w całej sprawie nie było nawet poszlak morderstwa albo zabójstwa, jest to, że sąd śledczy zbadawszy rzecz zostawił mimowolnego winowajcę za poręką na wolnej stopie. W wielu krajach bardzo cywilizowanych byłby on zresztą wolnym od kary w takim wypadku, gdyby rozmyślnie zabił podpalacza, bo kto w nocy z zapałkami podkrada się pod cudzą strzechę, ten z pewnością nie zasługuje na opiekę prawa*).“

Wyznać musimy, iż gdybyśmy się znajdowaii na miejscu pana Bonifacego Stillera lub w ogóle błotka morszyńskiego, wytoczylibyśmy takiemu adwokatowi proces o pokątne pisarstwo; bo słuchajcie: czterech muża atakuje mniemanego podpalacza, którego nie widzi a słyszy szmer w krzakach. Dobroduszny łazienny Józef, który także nic nie widzi, ale uzbroił się w dubeltówkę nabitą dla postrachu pali w górę i — zabija niewidzialnego kelnera, pseudo podpalacza, który się już niewidzialny wdrapał na werandę. A więc fakt dokonany został podług obrony pana J. Lama bezwiednie. Prosimy teraz zastanowić się czy taka sama „bezwiedność“ nie mogła sprowadzić drugiego faktu, gdyby na przykład jednemu członkowi z dwudziestukilku rodzin, zamieszkujących budynek z werandą, przyszło na myśl, chociażby z powodu bezsenności wyjść w nocy na werandę dla podumania — a tu dobroduszny Józef, łazienny — „mir nichts dir nichts“ — wypuszcza w stronę werandy takiego ołowiannego prysznica. Zdaje się że każdy by z nas podziękował za taką borowinową kuracyę. A nuż by znaleziono jeszcze u człowieka po śmierci kilka zapałek to gotów go kronikarz niedzielny unieśmiertelnić jako Herostrata morszyńskiego.

Zdaniem więc naszem niefortunna ta obrona powinna przekonać p. J. Lama, że zawód adwokacki jest dla niego niewłaściwym. Zresztą jak poucza doświadczenie powinien znakomity niedzielny kronikarz zostać jako taki przy swoim nader lukratywnym rzemiośle czy sztuce, a wyrzec się raz na zawsze nie tylko stanowiska obrońcy w sprawach karnych, ale i wszelkiej osobistej opieki nad istotami ludzkimi, gdyż im takowa, jak dzieje zawarte w księgozbiorz przy ulicy „Halickiej“ i w „Brygidkach“ stwierdzają nie wychodzą na zdrowie klientom i pupilom niedzielnego kronikarza. Rzecz szczególna, ile razy p. Jan Lam w czasie swej kilkunastoletniej praktyki kronikarskiej wyjątkowo poświęcił komuś swą przyjaźń i otwierał przed nim nawet dniem i nocą skarby miłości bratniej, — c. k. prokuratorya prawie zawsze mu tego uczucia pozazdrościła, wykradając poprostu z czułych objęć pupila lub przyjaciela i postępywała tak bezwzględnie, iż dla szczególnych zapatrywań zamykała ofiarę lamowską za kraty do krajowej menażeryi przy ulicy halickiej lub Kazimierzowskiej. A nazwać to trzeba istnym fatalizmem, jaki ściga p. J. Lama; gdyż niewiniątka te c. k. prokuratorya jedne wypuszcza a drugimi natychmiast zapełnia klatki nie uwzględniając nawet kasyerów stanu duchownego. Mając cały szereg takich namacalnych przykładów przed oczyma, jesteśmy w wielkiej i słusznej obawie o pana Bonifacego Stillera, którego obecnie kronikarz niedzielny „Dziennika polskiego“ wyłączną otoczył opieką i przyjaźnią osobistą. Aż nas dreszcz przechodzi na samą myśl coby się stało z przyszłością sukcesyi galicyjskiego Towarzystwa lekarskiego, gdyby c. k. prokuratorya z powodu niedającego się uniknąć fatalizmu i morszyńskiego przyjaciela ludzkości zamknęła do menażeryi.

Ktoś uczynił spostrzeżenie, że o ile p. J. Lam rok w rok w wieku awansuje, o tyle rozwija się w nim uczucie skromności i wstydliwości. I tak pewne grono w Radzie miejskiej w myśl uznania szczególnych zasług kronikarza niedzielnego dla stolicy kraju, postanowiło ku wiecznej pamięci, szanując nawyczki wielkiego apostoła dziennikarstwa galicyjskiego i jego rzeszy, wybudować „schronisko nad Pełtwią“ służące jako pośrednia stacya pomiędzy ostatnią „kropelką“ u pana Macieja Kosteckiego a pierwszą szklanką „czaju“ u spadkobierców śp. „cioci Superlowej“ przy ulicy Ormiańskiej. Apostół dziennikarstwa galicyjskiego z powodu nadzwyczajnej skromności usiłował nazwać przybytek ten zamiast „Lamówką“ innym nieniewłaściwym wcale pseudonimem. Wydział budowniczy wykonując tę filantropijno zdrowotną budowę wywiązał się ściśle co do rozmiarów uwzględniając ilość członków rzeszy apostoła dziennikarstwa, która prawie każdej nocy potrzebuje prowizorycznego schroniska nad Peltwią, gdy po mozolnych trudach nocnych nowe siły do literackiej dziennej pracy w jej błogosławionej woni czerpie. Urząd zapomniawszy o parawanie, któryby śmiertelników zakrył, obił obecnie to nowe arcydzieło budownictwa deskami, a jak tylko świetna Rada powróci z urlopów, powziętą zostanie uchwała co do kosztów parawanu. Przedtem atoli byłoby zdaniem naszem słuszniej rozpisać konkurs z kilku nagrodami i wezwać do niego tę rzeszę dziennikarstwa lwowskiego i jej apostoła, aby objawili zdanie: jakieby były pożądane dla nich inne wygódki w tym filantropijnym schronisku.

*) Alež p. Lamie kronikarzu — i zbrodniarz zasługuje u nas na opiekę prawa — i nawet p. B. Stillerowi nie wolno, wiedząc wprzód o pogróżkach, uciekać się aż do polowania z bronią, w nocy, po omacku — nie w dzień, na niebezpiecznego b. sługę, co więcej pozwalać, aby „dobroduszny Józef“ strzelał na werandę budynku, gdzie po borowinie snem błogim spoczywali „mocno chorzy goście“, co nie jednego z nich choćby tylko z przestrachu z powodu niezwykłego w nocnej porze strzału życiem to mógł przepłacić — lub wyszedłszy na werandę być postrzelonym — a czy zresztą nie łatwiej nabitą śrótem pukawkę zapalić budynek jak zapałką jedną — bo aż do wystrzału ni światła ni kelnera na werandzie niewidziano (?) a przecież tymczasem można było „podpalacza“ schwytać i w ręce władzy oddać. Na to wiele ludzi ni czasu nie trzeba było, zwłaszcza, że w obławie brało udział podobno więcej jak 4. a podpalacz tylko w zapałki był zbrojny. „Józef“ nie winien może wiele, bo „dobroduszny“ — ale winien ciężko p. Bonifacy, bo oddał życie kelnera, gości i budynek samowoli dobrodusznych głupich tchórzów. To już nie jest prawna konieczna obrona.

KRONIKA.

Na Wystawę dzieł sztuki przybyły temi dniami między innemi dziełami sztuki także obrazy olejne Gersona, Sandoza, Kochanowskiego, Axentowicza, a oraz tylko na krótki czas obraz Rossowskiego „Skazana“.

Sejm galicyjski. patentem cesarskim zwołany został na 14. września. Zwołanie Rady państwa nastąpi zaś d. 28. października, przeto sejm nasz będzie miał 40. a odliczając niedziele i święta, które służą także do posiedzeń komisyjnych, 31 dni do dyspozycyi.

Katastrofa narodowa w Pradze. Telegramy z dzisiejszej nocy doniosły przerażającą wieść z Pragi. — Dzieło kilkunastoletniej ofiarności całego narodu, na które nawet nędzarz odbierał sobie od ust kęs chleba, by się choć centem do niego przyczynić, dzieło, na które głębokie poczucie patryotyczne miliony zgromadziło — pochłonął ogień.

Wczoraj w piątek o godzinie 6tej wieczorem, wybuchł pożar pod dachem pokrytym miedzią w gmachu teatru narodowego. Katastrofa ta powstać miała z dwojakich przyczyn: Jedni twierdzą, że z powodu nieostrożności blacharzy lutujących blachę, drudzy, że ogień powstał w malarni. Silny wicher, jaki panował, spowodował, że płomienie z nadzwyczajną szybkością ogarnęły całe poddasze, a ogień party prądem wiatru, dostawał się równocześnie wewnątrz gmachu teatralnego, mianowicie do tej części nad sceną, gdzie urządzona jest górna maszynerya z mnóstwem lin. Usiłowano ogień odosobnić przez spuszczenie żelaznej zasłony; lecz klucze od tejże zostały zawieruszone i nie można ich było odnaleść, w skutek czego dostał się pożar do wnętrza amfiteatru. Pomimo rozpaczliwego ratunku opanowanie żywiołu nie było możliwe. Zdołano uratować zaledwie część archiwum i garderoby. O godzinie jedynastej w nocy, udało się uratować obok stojący teatr tymczasowy. Wewnątrz — czego nie zniszczyły płomienie, dokończyła woda. Trudno opisać żalu i boleści, jakie opanowały wszystkich patryotów. Na ulicach płaczą starzy i młodzi jak dzieci.

Poświęcenie przy ratunku dochodziło do szaleństwa. Trzech strażaków uratowało się skacząc z dachu, na rozpostarte płótna Wojsko otoczyło cały plac pożaru. Pojmiecie tę klęskę narodową i żal, a nieposkąpicie zapewne współczucia.

Opiekun. W zeszłym tygodniu doszła nas korespondencya z wiadomością, w jaki sposób wywiązują się we Lwowie niektórzy opiekunowie naznaczeni przez sądy do czuwania nad wychowaniem małoletnich i do zarządzania majątkami tychże. Na początku tego roku zmarła we Lwowie pewna właścicielka domu w śródmieściu, która nie mając dzieci przybrała za córkę małą dziewczynkę adoptowała ją — a przed śmiercią mianowała główną sukcesorką. Sąd nadopiekuńczy wyznaczył opiekuna małoletniej p. B. adjunkta pewnej kasy. O stosunkach p. B opowiadają obeznani z takowymi niezbyt ciekawe rzeczy, które jednak sprawdziwszy szczegółowo podamy. Faktem jednak jest, iz p. B. w obec 16 letniej pupilki zajął szczególne stanowisko, niezgodne z godnością opieki — gdyby zaś potrzeba wymagała, obiecywał ją wywieść do Kijowa i tam jej świetną karyerę zapewnić. Pupilka nie chciała usłuchać tych szlachetnych rad. Cóż sie dzieje? W zaprzeszłym tygodniu wyprowadza szan. opiekun pupilkę za Żółkiewską rogatkę, tam upaja ją winem i w takim stanie prowadzi wieczorem przez Wysoki Zamek. Postępowanie jego było jednak tego rodzaju, iż pupilka chociaż w stanie niecałkiem przytomnym wyrwała się z rąk niegodziwcy, uciekając do miasta prawie zmysłów pozbawiona. Gdy znowu ujrzała, że ją opiekun ściga spotkawszy młodego akademika, błaga go o pomoc i ochronę przed opiekunem. Uczciwy ten młody człowiek uspokoiwszy ją cokolwiek i zbadawszy przyczyny tego stanu zapytał, czy nie zna rodziny, do której by ją mógł odprowadzić. Sierota nie znała nikogo jak tylko pewną panią, którą za życia przybranej matki u tejże widywała. Tam ją odprowadził jej chwilowy obrońca, a że to prawnik nie zaniedbał konstatować w obec świadków, że sierota przedstawia jeszcze objawy upojenia trunkami. Na drugi dzień udał się do jej opiekuna; lecz ten zale-

dwie usłyszał nazwisko sieroty obrzucił ją ohydnemi obelgami — dodając to, że mu uciekła. Młodzieniec udał się do policyi — opowiedział fakt i wskazał miejsce dokąd zaprowadził sierotę. W kilka godzin potem policya odwiozła sierotę do zakładu św. Teresy, gdzie zdaniem naszem schronienie to tymczasem jest dla niej może najwłaściwsze, gdyż prócz Boga i opiekuna nie ma nikogo, ktoby się losem jej zajął. Nie koniec ale na tem: — dowiadujemy się bowiem w dalszym ciągu, że p. opiekun administruje w szczególny sposób majątkiem pupilki. Na kamienicy tej ciąży dług banku hipotecznego i jakiś inny. Pomimo jednak, że opiekun pobiera czynsze, raty bankowe nie są spłacone dotychczas a majątek może bardzo szybko dostać się pod młotek publicznej licytacyi. — Lepiej poinformowani twierdzą, że postępowanie to jest tendencyjne.

Zwracamy uwagę c. k. Sądu nadopiekuńczego i c. k. Prokuratoryi państwa, aby raczyły zarządzić śledztwo karne w tej sprawie, a póki czas odjąć niesumiennemu opiekunowi władzę nad sierotą i mieniem jej.

W kongresówce pisma wciąż muszą nosić grubą żałobę po carze Aleksandrze II i znaczyć ją czarnemi obwódkami. Tymczasem moskiewskie pisma nosiły żałobę tylko kilka dni. Czyż to nie arcyśmieszne i zabawne.

Z Krakowa (dnia 6. Sierpnia). W tych dniach zeszło nas się kilku, a z pogawędki o sztuce wynikło: czy zasilać jeszcze wystawę lwowską naszymi pracami lub nie. W toku rozmowy przyszedł jeszcze jeden kolega z głośnym i homerycznym śmiechem, a wyjmując „Tydzień polski" z kieszeni, odczytał krytykę wystawy podpisaną przez jakiegoś pana „Z o r i a n a". Nie powiem za wiele, jeżeli wyznam, iż nas w zdumienie wprawiła ta paplanina jakiegoś zarozumiałego sztubaka, który się porwał do sklejenia ze zrozumiałych dlań tylko frazesów paplaniny o sztuce. Nie przypuszczamy, aby tak poważna redakcya jak „Tygodnia polskiego" przepuściła to studenckie ćwiczenie czytając takowe poprzednio. Chcemy uwierzyć, że stało się to przypadkowo. Wybornym jest sobie ten lwowski krytyk sztuki, gdy zarzuca Merwartowi, że w obrazku rodzajowym użył niewłaściwego kostiumu dla Turystki. Ztąd wynika, że współpracownik „Tygodnia polskiego" pan Zorian, musi być właściwie specyalistą w żurnalach mód, a to zapewne jego właściwe pole literackie. W każdym razie krytyka ta jest jednym dowodem więcej, że pomimo wszelkiej życzliwości dla Lwowa nie jest możebnem, aby artyści nadsełali na wystawę swe prace, bez narażenia się na idiotyczne oceny panów Zorianów et tutti quanti.

W ostatniej chwili odbieramy list z za kordonu z pogranicza Wołynia i Podola. Sprawdza się, co inne dzienniki w krótkości donosiły, że rozrzucono tam mnóstwo groźnych proklamacyj, które grożą spaleniem wszystkich dworów i miast. Głuche wieści krążą obok tego o nowej zamierzonej katastrofie żydowskiej, w skutek czego żydowstwo pakuje się cichaczem na gwałt z zamiarem opuszczenia caratu, gdzie już tylko z trwogą skłania głowę do snu. Pomimo obfitych żniw i urodzaju mało kogo takowe cieszą, gdy nie może wiedzieć, że jutro jest jego, — bo przez noc stać się może żebrakiem. Panowie czynownicy nie patrzą się również spokojnie w przyszłość, a chcąc się na wszelką ewentualność zabezpieczyć, kradną i drą co się tylko może zmieścić do ich kieszeni. Pomimo czujności policyi kręci się wszędzie mnóstwo nieznanych figur, którym niekoniecznie dobrze z oczów patrzy, a panika jest tak wielką, że nawet komendant żandarmów nie zawsze ma odwagę zapytać: „kto waść jesteś?" Jeżeli ktoś na prowincyi samochcąc nie wpadnie policyi w łapy, to tak jakby rozmyślnie go wymijali; jedynie po większych miastach widoczną jest czujność carskich organów bezpieczeństwa. I to przytoczyć wypada, że nigdy w naszych stronach tyle dzienników, a mianowicie galicyjskich, nie kursowało, jak obecnie. Wyrastają jakby z pod ziemi, a nawet „Sztandar Polski" i „Strażnica" nie są tu rzadkością.

Teatr.

Ze sceny krakowskiej donosi nieustannie „Czas" o cudach jakich dokazuje jakiś H o l d e n von Drausen z marjonetkami. Inne głosy kompetentne twierdzą, że marjonetki te mają o wiele przewyższać precyzyą i zrozumieniem w grze, obecne krakowskie towarzystwo dramatyczne pod dyrekcyą pana Koźmiana. Otóż ten „ktoś" po tak namacalnej doniosłości maryonetek wpadł na szczęśliwą myśl zwołania „a n k i e t y", która ma orzec, czy nie byłoby praktyczniej i korzystniej dla pana Koźmiana, aby rozpuściwszy towarzystwo dramatyczne zaangażował pana Holdena z marjonetkami na stałe dla sceny krakowskiej. Projekt ten rozpatrzony z praktycznej strony, daje warunki prawdziwie ekonomicznej wartości — Gaże maryonetek jako istot bez kości, krwi i ciała, a przedewszystkiem mózgu, dadzą się obniżyć do minimum. Jedynie wypadałoby zatrzymać żywy harem sceniczny, lecz i ten nie obciążałby budżetu dyrekcyi mając sposobność pobocznego zarobkowania, do którego stosunki dyrektora wielce by się mogły przyczynić. Wszelkie odwoływanie się do opinii publicznej w Krakowie uważać należy za zbyteczne albowiem Krakowianie aż nadto dowiedli podczas bytności cyrku Krembsera a obecnie p. Holdena z marionetkami, że towarzystwo dramatyczne wprawdzie w grodzie podwawelskim bardzo piękną ma tradycyę, lecz w obec dzisiejszych pojęć i wymogów jest zupełnie zbyteczne. Krakowowi nie potrzeba dramatów ani komedyj, gdyż takowe w daleko lepszych edycyach, chociaż nie drukowanych, odgrywają się codziennie w rodzinnych kołach. Lepiej poinformowani i obeznani ze stosunkami miejscowymi twierdzą, iż jak każda „ricz ma swoju szatensejtu" tak i w Krakowie przeważna część płci pięknej, która nosi obrączki ślubne ma swoich cicisbejów. Ten tego, a ten tego połowicę uwielbia, i to społeczeństwo właśnie, stanowczo się oświadcza za cyrkami i marjonetkami. Pozostawmy jednak bliższe objaśnienia „Gazecie Krakowskiej", która jedna należy pod Wawelem do inaczej myślących od lokajów liberyjnych w „Czasie", a wróćmy do Lwowa.

Aby tu nad Pełtwią panowały stanowczo odmienne przekonania, tego powiedzieć nie możemy. Pan Miłaszewski, gdyby nawet na głowie stawał, będzie miewał o tyle tylko zapełniony amfiteatr, o ile dawać będzie operetki, bo poza temi najlepsza komedya lub dramat nie pokryje nawet dna w kasie teatralnej. W tych dniach mieliśmy ciekawą próbkę: co naszą publiczność może rozruszać. Nasi czytelnicy raczą sobie zapewne przypomnieć od roku zeszłego panią G e r a r d, która opuściwszy Lwów pojechała n a ć w i c z e n i a do Wiednia. Otóż po roku fizycznej i wokalnej gimnastyki, gdy się nawet Länderbank na świeże powietrze rozjechał, to i p. Gerard przyjechała dla odświeżenia się do Lwowa. I wielka była z tąd radość w byłej dyrekcyi teatru, a chociaż były dyrektor co tylko wyjechał dla odmłodzenia sił w Tatry, pospieszył na pierwszą wiadomość z powrotem, aby powitać miłą pupilkę i prawdziwie z ojcowską pieczołowitością oprowadzał ją po zakątkach miłych wspomnień, jak po „bratniej zgodzie" etc. Nareszcie rozchodzi się wieść, że pani Gerard debiutować będzie w „Księżnej Gerolstein", a co tylko jeszcze pozostało we Lwowie z bankierów, szmeigelesów i jańcisiów, wszystko to podążyło do letniego teatru. Na uczczenie t a k m i ł e j p a m i ę c i znakomitej artystki wszystkie h o n o r o w e m i e j s c a zapełnione były a szczególniej loża Wysokiego Wydziału krajowego groziła rozsadzeniem z powodu niezwykłego zgromadzenia się w tejże poważnych ojców Galicyi. Największą jednak sensacyę sprawiło wejście do amfiteatru pana Jana Dobrzańskiego, którego noga od złożenia dyrekcyi w teatrze dotąd nie postała i pytanie czyby to kiedykolwiek nastąpiło, gdyby nie ojcowska pieczołowitość o powodzenie pupilki. Niestety serca znakomitych protektorów doznały okropnego zawodu. Przekonano się albowiem, że c a ł o r o c z n e ć w i c z e n i a pani Gerard w Wiedniu, wywarły wręcz przeciwny skutek na głos „cyzelowany w srebrze" (wyrocznia recenzenta „Czasu") z którego oprócz rzeczywiście potężnego krzyku, nic więcej nie pozostało. W skutek takiego rozczarowania nawet nadworni recenzenci „Gaz. Narodowej" i „Dziennika Polskiego", którzy już mieli akademiczne oceny przygotowane zmuszeni byle wrzucić takowe do kosza redakcyjnego.

Natomiast pp. recenzenci zemścili się na panu Myszkowskim za to iż tenże ośmielił się oddać kuplet czyniący reklamę podług zdania powyższych wyroczni „r e w o l w e r o w e j p r a s i e" czyli dwutygodnikom „k t ó r y c h i m i e n i a n i e w y m a w i a s i ę w p r z y z w o i t e m t o w a r z y s t w i e". Aczkolwiek jest to już rzeczą publicznie we Lwowie znaną, to jednak nieświadomych obowiązkami jesteśmy objaśnić, że: „p r z y z w o i t e t o w a r z y s t w o" oznacza w słowniku dziennikarskim „Gazety Narodowej i „Dzien. Pols." zbiór okazów społecznych, które karmione od lat młodzieńczych zacząwszy nie mlekiem, ale gorzałką, piwem i innymi alkoholicznymi płynami, walają się doiem i nocą pod ławami żydowskich szynków; które się zataczają nawet w dzień biały i spoczywają często po rynsztokach ulicznych; koło których wydatni członkowie i wyrocznie o sztukach wyzwolonych ogłaszani bywają w „osobistych wiadomościach" „Dziennika polskiego", jako wyjeżdżający sprawozdawcy redakcyjni „pielgrzymek do Rzymu" a pobrawszy z różnych redakcyi zaliczki przegrywają takowe w wagonie w ferbla nie dojechawszy nawet do Krakowa i odstawiani są następnie nazad do Lwowa franco do redakcyi.

Chcąc zostać takim recenzentem, potrzeba by być chociaż raz obitym i skopanym w rowie przez predmieszczan z Łyczakowa lub rozciągniętym jak zając przez narodowość z jakiej się zrodziło i po porządnej admonicyi e x p a t r y o w a n y m zostało. Takie dokumenta umożebniają dopiero osiągnięcie patentów na pełnienie funkcyj w Timesach nadpełtwiańskich jako wyrocznie o sztukach pięknych i wyzwolonych, o handlu przemyśle i t. d. Grono ludzi mniejsze lub większe, tego rodzaju okazów znamionuje dopiero „p r z y z w o i t e t o w a r z y s t w o". — Matko Galicyo! I ty starożytny grodzie nadpełtwiański! — cieszcie się i radujcie, albowiem zaprawdę mówimy wam, że takie „Gazety narodowe" i „Dzienniki polskie" wraz z ich przyzwoitemi towarzystwami są prawdziwem błogosławieństwem tej ziemi!

We wtorek przedstawiono komedyę St. Bogusławskiego, 3-aktową „Opieka wojskowa". Niestety z żalem musimy zaznaczyć, że tradycya starych żołnierzy polskich z epoki przed rokiem 1830 już zaginęła i nawet tacy artyści jak pp. Zboiński, Zamojski, nie umią czy niechcą już charakterów tych odtworzyć. To też nie dziw, że przedstawienie wczorajsze wypadło nadzwyczaj blado i gra nie mogła wywołać odpowiedniego wrażenia. Jedynie pani Gostyńska w roli Agrypiny umiała się przenieść o lat pięćdziesiąt wstecz.

Zmuszeni jesteśmy zrobić znowu uwagę, że gdy p e w n a s t a r a g w a r d y a występuje na scenę, to czasami niewiedzieć czy to ona lub też sufler gra.

W czwartek przedstawiono „Poczwarkę" dramat ludowy w 5-aktach napisany w oryginale przez Karolinę Birch-Pfeifer. Rolę tytułową grała tu panna Ruszkowska i przyznajemy, że byliśmy w obawie, czy rola ta nie jest nad siły tak młodej artystki, zwłaszcza po takich kreacyach w tej roli jak p. Nowakowskiej, Zimajer i innych. Poczwarka jest niemal kamieniem probierczym dla artystki. Nad wszelkie spodziewanie nasze p. R. wywiązała się z trudnego zadania b a r d z o p r z y z w o i c i e. Aby gra jej była zupełnie wykończoną, tego naturalnie nikt od p. R. żądać nie mógł, i jeżeli powiedzieć możemy, że „Poczwarki" nie zepsuła, nie skarykaturowała — to uznanie takie jest wszystkiem, czego artystka początkująca życzyć sobie może. Występ wczorajszy był dla p. R. nader ważnym; albowiem dosyć licznie zebrana publiczność nabyła ostatecznie przekonania, że w pannie R. zyska niezadługo scena nasza rzeczywistą artystkę. Sympatyę już ma — a reszta od p. R. zależy. Przekonani jesteśmy, że wręczonego pannie R. bukietu nie będzie uważała za oznakę uznania gry skończonej, ale tylko jako zachętę i nagrodę pilnej pracy. Obowiązkiem naszym zwrócić uwagę p. R., że tak samo jak głos w śpiewie tak i wymowa sceniczna wymaga sumiennych i troskliwych ćwiczeń. Otóż i p. R. nie możemy dosyć zalecić tych studyów już przy uczeniu się roli na pamięć. Gdyby to od nas zależało, wprowadzilibyśmy na próbach jako obowiązek, aby młodsze siły nie tylko recytowały, ale grały powierzone im charaktery. Szkolarstwo takie nie byłoby może przyjemne, ale za to bardzo korzystne. P. G o s t y ń s k i e j należy się za jej grę najzupełniejsze uznanie, jako rzeczywiście uzdolnionej i rutynowanej artystce. W amfiteatrze było obecnych kilku artystów malarzy i rzeźbiarzy, których kilkakrotnie gra „s t a r e j w i e d ź m y" porywała do frenetycznych oklasków, co i resztę publiczności w ich ślady pociągało. Pan N o w i c k i w roli młodego wieśniaka Landry sprawił niemal sensacyę; bo jak dotąd, jest we Lwowie w zwyczaju przebaczać śpiewakom usterki w prozie — aż tu w „Poczwarce" dowiódł p. N., że nie tylko głos jego zyskał na dźwięku i sile, lecz i w prozie tak awansował, iżby się komuś obcemu zdawać mogło, że dramat i komedya są jego specyalnym zawodem. Słowem, p. N. wywiązał się wybornie, nadspodziewanie.

Teraz słówko do Szanow. Dyrekcyi i reżyseryi i prośba o równouprawnienie. Już rok drugi widujemy na scenie młodzieńca, który z wyższych zakładów naukowych przeszedł z rzeczywistego poczucia do zawodu dramatycznego. Jednakowóż przez te lat dwa udziałem jego są tylko role ostatniorzędne — po kilka lub najwięcej kilkadziesiąt słów, które ten młody artysta wykonuje z największą skrupulatności i zrozumieniem. Dziwić nas tedy musi — że jeżeli pięć pań, w której Dyrekcya dopatrzy jakiegokolwiek talenciku, uzyskuje wkrótce prawo debiutowania, młody mężczyzna zmuszony jest l a t a t e r m i n o w a ć nim artysta wykonuje ... Taki terroryzm reżysersko-sceniczny jest dla nas nie zrozumiały. Byłoby więc do życzenia, aby szan. Dyrekcya r a c z y ł a u w z g l ę d n i ć, że p. Szobert, który ze szkoły politechnicznej przeszedł przed dwoma laty na deski teatralne, nie może choćby pięciu lat czekać, zanim mu przyznany zostanie debiut, z którego by mógł powziąć przekonanie, czy przyszłością jego może być scena lub nie, gdyż w ostatnim wypadku wolałby się nie łudzić i póki czas przejść do zawodu właściwszego.

TEATR LETNI

przy ulicy Majerowskiej, naprzeciw Kasy oszczędności pod dyrekcyą ADAMA MIŁASZEWSKIEGO.

W niedzielę, dnia 14. sierpnia 1881

MARNOTRAWCA

melodramat w 4 aktach ze spiewami J. Raymunda, muzyka Müllera, tłumaczenie J. N. Kamińskiego, z odpowiednią wystawą i elektrycznem oświetleniem obrazów.

W poniedziałek, dnia 15. sierpnia b. r.

Po raz jedynasty:

DONNA JUANITA

opera komiczna w 3. aktach, muzyka Fr. Suppégo, przekład Aurelego Urbańskiego.

Ceny miejsc: Loża 4 złr. Krzesło parterowe pierwszorzędne 1 złr. Krzesło parterowe drugorzędne 80 ct. Krzesło part. trzeciorzędne 60 ct. Pierwsze miejsce numerowane 50 ct. Drugie miejsce 30 ct. Galerya 15 ct.

Początek o godzinie pół do 8. wieczór.

Przewodnik przemysłowo-handlowy po Lwowie.

ŚWIEŻE

WODY MINERALNE

krajowe i zagraniczne

poleca pod gwarancyą

Jan Ihnatowicz

ulica Kopernika l. 3.

Również został otworzony 6—0

Pawilon w ogrodzie Jezuickim

dla pijących wody mineralne grzane, chłodne, z mlekiem, solą marjenbadzką, karlsbadzką, żętycą, kumysem i t. p.

WODY LEKARSKIE

z Fabryki parowej wód gazowych

K. RZĄCY w Krakowie

aprobowane przez świetne Towarzystwo lekarskie w Krakowie, i zalecane bywają w odpowiednich słabościach.

WODA SELCERSKA, nie ustępuje w niczem wodzie rodzimej.

WODA GORZKA, według części składowych źródła Wiktoryi, lecz w smaku od niej znacznie przyjemniejsza.

WODA z PYROFOSFORANEM ŻELAZOWYM, zawierająca znaczną ilość środka czynnego, znośna nawet przy chorobach z wrażliwym przewodem pokarmowym.

WODA LITOWA, zawierająca daleko znaczniejszą ilość węglanu litowego, niżli jakakolwiek woda mineralna rodzima, lit zawierająca.

WODA JODOWA, przewyższająca ilością jodu wszelkie wody rodzime, jod zawierające.

WODA WICHY, według części składowych źródła **Celestyny i Grande Grille**, nie ustępująca w niczem wodzie rodzimej, co do ceny zaś jest od niej o wiele tańszą.

Składy w KRAKOWIE: **w Aptece pod Gwiazdą**, ulica Florayańska **w Aptece pod Słońcem**, Rynek Główny; **w Atpece pod Złotą Głową**, Rynek główny; w handlu p. **Janigi**, Rynek Główny; **w Aptece pod Barankiem** mały Rynek.

Życzący sobie mieć te wody na składzie, raczą się porozumieć z właścicielem fabryki. 11—0

P. T. Publiczność, że na czas zrestaurowania gmachu Banku Hipotecznego przenieśliśmy nasz

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że na czas zrestaurowania gmachu Banku Hipotecznego przenieśliśmy nasz

Magazyn Nowości

pod firmą:

L. M. Feintuch et E. Machayski

na ulicę Jagiellońską l. 3,

do gmachu Galicyjskiego Banku kredytowego i że w czasie tym sprzedawać będziemy wszystkie towary po cenach znacznie zniżonych, a artykuły wysortowane nawet niżej cen fabrycznych.

Na czas restauracyi Gmachu Banku hipotecznego

Główny Skład Nasion

TEOFILA ŁUCKIEGO

przeniesiony został na ul. Jagiellońską l. 4.

Otrzymawszy świeży transport:

Rzepy pastewnej Styryjskiej i Bawarskiej

poleca takową po bardzo umiarkowanych cenach, tudzież do obecnych zasiewów „Żyto Świętojańskie“; utrzymuje też na składzie w każdej szerokości

Pasy skórzane do maszyn i młocarń,

Oliwę do maszyn i smarowidło Belgijskie do osi.

Satyny, kretony i piki na suknie damskie,
Materye na letnie ubrania męskie,
Dreliszki liberyjne, **bieliznę** męzką i kąpielową,
Kołdry trykotowe i pikowe,
Pończochy, skarpetki itp.

poleca po najumiarkowańszych cenach

MAGAZYN

J. Drexlera i Synów

przy placu Kapitulnym Nr. 2. we Lwowie.

NA SEZON LETNI. — NA SEZON LETNI.

J. CIROK

przedtem **E. ZIEGLER rękawicznik i bandarzysta**
po cenach umiarkowanych

RĘKAWICZKI

glansowne jasne damskie od 2 do 16 guzików, męzkie o 1 i 2 guzikach, oraz wielki wybór kolorowych tak damskich jak i męzkich, jelonkowych, z futerkiem i innych. — Również **szelki krawatki** i wszelkie wyroby skórkowe.

Zamówienia z prowincyi załatwia odwrotną pocztą. 16 - 0

HANDEL MASZYN

do szycia, plisowania falban i do pończoch, z najpierwszych fabryk i najnowszych konstrukcyi.

Gwarancya 5 lat.

Każda maszyna przed wydaniem z handlu jest najdokładniej uregulowana. — Zamiana i spécyalna naprawa — czółenka części składowe i igły w wielkim wyborze. — Gruntowną naukę szycia i plisowania na maszynie — poleca

JÓZEF IWANICKI

mechanik w hotelu Georga. 15—

14—0 Dyplom honrowy na Wystawie krajowej.

Spółka Stolarzy Lwowskich

przy placu Bernardyńskim liczba 15 we Lwowie

poleca swój obficie zaopatrzony

SKŁAD MEBLI

oraz wielki wybór **luster, materyj na meble, dywanów, sukna na podłogę, karniszów i kutasów do okien, jakoteż mebli giętych i żelaznych.**

CZERNICKI

przedtem

Gustaw Wichert

rękawicznik i bandażysta

we Lwowie, Rynek, l. 28

poleca łaskawym względom swój skład własnego wyrobu

wszelkiego rodzaju

TOWARÓW RĘKAWICZNICZYCH

mianowicie:

amerykańskie jelonkowe spodnie i kaftany

we wszystkich najnowszych barwach wszelkie rodzaje męzkich i damskich rękawiczek, skóry łosiowe i jelonkowe do pokrycia łóżek, poduszki, torby myśliwskie, czapki mundurowe i cywilne, szaliki, krawatki, szelki, sznurówki, bandaże, pończochy gumielastyczne i sznurowane

po stałych umiarkowanych cenach.

Zamówienia z prowincyi uskuteźniają się odwrotną pocztą. 15—0

BOLESŁAW

DŁUGOSZEWSKI

inżynier cywilny z upoważ. rząd.

w Dolinie,

stacya kolei Arcyks. Albrechta,

przyjmuje i wykonuje wszelkie roboty techniczne i przedsiębiorcze na swój własny lub interesowanych rachunek,

Przyjmuje wykonanie wszelkich robót na cemencie lub z cementu pod gwarancyą.

Poleca

CEMENT KRAJOWY

swego wyrobu, nie ustępujący w dobroci cementom zagranicznym a znacznie od takowych tańszy.

Udziela bezpłatnie szczegółowych informacyj wszechstronnego zastosowania i użycia cementu.

Wszelkie zamówienia miejscowe i zamiejscowe wykonuje najstaranniej

Skład cementu dla Lwowa

u pana Sohumana

plac Maryacki l. 9. 14—0

Skład mebli

obficie zaopatrzony we wszelkiego rodzaju wyroby własne

podług 11—0

wzorów francuzkich i wiedeńskich

poleca

Wiktor Świsterski

stolarz, róg ulicy Teatralnej placu św. Ducha l. 11.

Aleksander Getritz

Introligator, Rynek l. 41.

Poleca swoją pracownię, w której od najpyszniejszych opraw do całkiem zwykłych broszur zamówienia przyjmuje — niemniej znaną fabrykę ozdobnie wykonanych okładek z płótna, na wszystkie dzieła polskie — swoim od biorcom nadal poleca. 11—0

Wydawca i odpowiedzialny redaktor J. N. z Oleksowa Gniewosz. Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.